

OSTATNI NUMER WAKACYJNY

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok V. Nr 34 (234)

Łódź, 26. VIII. 62 r.

Cena

1 zł

odgłosy

ZBIGNIEW WOJCIECHOWSKI

WCZASY Z „EWUNIA”

(Reportaż ściśle wakacyjny tylko dla mężczyzn)

Taksjarsz myślał, że wybieramy się na wczasy. — „Panowie, tak sami, bez żon... dobrze się prowadzi” — dowcipkował puszczając do nas znaczące oko.

Gdyby jednak wiedział co zawierają walizki z takim trudem wtaszczone do środka „Warszawy”, zapewne patrzyłby inaczej na swych pasażerów. Sytuacja nie należała do najprzyjemniejszych. Szofer — dopytywał się, gdzie zamierzamy wypocząć, czy jedzie ktoś z nami. My zaś, prawdę mówiąc nie chcieliśmy się przyznać do tego, że wcale nie zamierzamy szaleć i wypoczywać. Wręcz przeciwnie — jedziemy do pralni prać bieliznę!

O, biedny męski honorze!!!
Wiem jak cierpisz... My również cierpieliśmy, kiedy przyszło nam naprzeciw salonu pralniczego „Ewunia” (tak perfidnie imieniem

pierwszej kobiety nazwano pralnię) zatrzymać taksówkę.

Przez oszklone drzwi weszliśmy stanowczym, pełnym godności krokiem. Miał on

wyrażać, że doskonale rozumiemy ciężką sytuację kobiety pracującej, tysiące obowiązków, które ma na swej głowie w związku z prowadzeniem domu i że my, świadomi tego, postanowiliśmy pomóc własnym żonom. W salonie pralniczym oprócz nas był jeszcze tylko jeden mężczyzna. Ale o nim opowiem później.

No, więc jesteśmy z Waciem w pralni i stoimy przed taką panią, która załatwia wszelkie formalności związane z praniem. Wypisuje kwity, waży bieliznę, słowem bez wizyty u niej nie ma

Dalszy ciąg
na str. 5



Foto: W. Kraska.

SŁAWOMIR KELLER

GEMY, ROBRY, SETY i MISTRZOWIE

Pod melodie tej popularnej piosenki chcę na gorąco spisać niektóre uwagi na temat wczasów letnich naszych dzieci.

Zaznaczam jeszcze raz — są to uwagi spisane na gorąco a więc, być może, kiedy przyjdzie czas na podsumowanie akcji letniej, kiedy spojrzymy na nią z wielu stron, a rzecz będzie podparta liczbami — wtedy niektóre moje uwagi okażą się niezbyt trafne, inne niezupełne.

Ad rem:

Najpierw kilka uwag o różnych rodzajach wczasów dziecięcych i młodzieżowej szkolnej.

Są to, jeśli chodzi o dzieci, kolonie organizowane przez inspektoraty lub zakłady i obozy harcerskie, a dla pozostających w mieście — półkolonie, ogródki jordanowskie i place zabaw organizowane przez inspektoraty oświaty lub TPD i harcerska Organizacja Wolnego Czasu (dziecka) — O-W(u)-Cz lub też jak kto woli podobnie z egzotyczną brzmiającą: W(u)-D(e)-(e)M (Wakacje Dzieci w Mieście).

W odniesieniu do młodzieży szkolnej — obozy wędrownie i stałe — organizowane przez inspektoraty oświaty, szkoły lub harcerstwo.

Dalszy ciąg na str. 2

„Tenis będzie tak długo intrygował wszystkich, jak długo na trybunach zasiadać będą piękne kobiety”.

Wyczytawszy to zdanie, które wygłosił kiedyś sławny tenisista Jean Borotra, reporter postanowił natychmiast udać się na turniej tenisowy. Oczywiście wyobraźni widział już wspaniałe kobiety, najwspanialsze kreacje. Spontanizna, przez nikogo nie organizowana — rewia mody i wybory „Miss Piękności”. Panie „z towarzystwa” i bez towarzystwa panów w szalowych letnich garniturkach z tergalu albo z tropiku, bardziej pożądanie zerakających na trybuny niż na to co się dzieje na korcie.

Reporter chciał zobaczyć wspaniałe smeczki, loby, szoty i dropszoty, ale również bardzo chciał zobaczyć najmodniejsze princepsy i szmizjerki. Chciał zobaczyć łódzki high-life, który przecież nie mógł przeoczyć tak pięknej no i trochę ekskluzywnej imprezy.

Tak więc reporter opowie co się działo na korcie i wokół kortu. Na korcie, panie i panowie w białych strojach — odbijają piłki rakietami i w ten sposób walczą o zaszczytny tytuł najlepszego odbijacza piłki — czyli mistrza Polski w tenisie ziemnym. Co wytrawniejsi koneserzy nazywają go —

angielska lawn-tenisem, co brzmi wprawdzie nie po polsku, ale jest w lepszym tonie. Już po raz 36 rozgrywane są mistrzostwa tenisowe. Pierwsze rozegrano w 21 roku w Krakowie. Od tego czasu cztery razy w Łodzi gościli mistrzowie rakiet. Tych wszystkich informacji udziela reporterowi jeden z działaczy łódzkiego tenisa.

Już od godziny siedzi przy małej czarnej z reporterem i wyklada mu KKHTZ, czyli Krótki Kurs Historii Tenisa ziemnego. Reporter notuje... że... już starożytni, (naturalnie!), że Homer w Odysei opisując prześliczną Nauzykę wspomina jak grywała ona w coś co żywo przypominało tenis. W Rzymie istniały oprócz innych domów... domy piłki czyli spheristeria, które opisuje w swych dziełach Pliniusz Młodszy przyjaciel imperatora Trajana.

Przemily działacz, zakonany po uszy w tenis, jest całą skarbnicą wiadomości wszystkiego złego i dobrego o tym sporcie. Opowiada ze swadą a jednocześnie z wielkim nabożeństwem o historii, która przecież jak każda historia może być wątpliwa.

Dalszy ciąg na str. 7

MIECZYŚLAW

WOŹNIAKOWSKI

LATO LATO ZOSTAN DŁUŻEJ...



ROZMOWA ODGŁOSÓW Z:

dr. inż. TADEUSZEM JĘDRYKĄ

dyr. Instytutu Włókiennictwa w Łodzi



O UBRANIACH CZŁOWIEKA PRZYSZŁOŚCI

O PIANIE NIE-AFRODYTY

O REWOLUCJI WE WŁÓKIENICTWIE

O MARIAŻU NAUKI Z PRZEMYSŁEM

— Różnych rzeczy, różni ludzie oczekują od Instytutu. Najczęściej jednak obserwuje się raczej dezorientację co do konkretnej działalności tej instytucji, przynajmniej u przeciętnego łodzianina. Może więc zaczniemy rozmowę od podstaw: co jest istotą działalności Instytutu i jaki jest cel jego istnienia?

— Jak każda placówka naukowo-badawcza Instytut Włókiennictwa w Łodzi, jest jedyną placówką tej specjalności w kraju, zajmuje się tą dziedziną życia gospodarczego, która nazywa się rozwojem techniki, a konkretniej — rozwojem techniki włókiennictwa.

— Czy spełnia przyjęte na siebie zadania?

— Trudno nam samym oceniać się, możemy tylko powiedzieć, że na ogół jednostki powołane do tej pracy, a więc Ministerstwo Przemysłu Lekkiego, Komitet do Spraw Techniki oraz instancje partyjne są zadowolone z naszej pracy, ze sposobu opracowania tematów nie tylko od strony naukowej, ale i praktycznej.

— Można prosić o kilka słów na temat tych dwóch stron działalności I. W., tj. naukowo-badawczej i usługowej wobec przemysłu?

— Wprowadzić tych stron jest nieco więcej (np. działalność informacyjna czy do-

kumentacyjna) ale ograniczamy się tylko do dwóch najważniejszych. Jak wspominałem przedmiotem naszych zainteresowań naukowych są wszystkie dziedziny włókiennictwa: surowce, przedziałnictwo, matrologia, nowe techniki wytwarzania, włókniny, tkaniny, dziewiarstwo, wykończalnictwo, podstawowe zagadnienia techniczne, takie jak klimatyzacja, ścieki oraz kilka jeszcze innych.

W każdej z tych dziedzin wykonujemy prace naukowe i rozwiązujemy problemy interesujące żywotnie przemysł. Wszystkie te prace badawcze łączą się z dorobkiem naukowym naszej kadry. W tym roku np. zakończono dwa przewody doktorskie pracowników I. W., a w najbliższym czasie spo-

dziewamy się zakończeniu dalszych trzech. Nasi naukowcy w jednym tylko 1962 roku brali czynny udział w czterech zagranicznych konferencjach międzynarodowych. Również w naszym Instytucie zorganizowaliśmy międzynarodowe sympozjum w sprawie perspektyw bazy surowcowej przemysłu włókienniczego, a pracownicy naszego I. W. zamieścili w różnych czasopiśmie naukowych i technicznych 207 własnych, oryginalnych publikacji.

— Czy współpracujecie także z zagranicznymi placówkami badawczymi?

— Owszem. Mamy bardzo ścisłe kontakty z instytucjami naukowo-badawczymi państw wchodzących w skład Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej. Zawarliśmy też dwustronne umowy dotyczące współpracy z tymi instytucjami. — Np. wspólnie z Instytutem Włókiennictwa w Karl-Marx-Stadt w NRD pracujemy nad zagadnieniami włókna, intensyfikacją procesów przędzenia i innymi.

— A aplikacja przemysłowa prac Instytutu? Co się robi w tej dziedzinie i na czym praca ta polega?

— Przemysł włókienniczy ma tyle problemów i potrzeb, że I. W. nie jest w stanie sam wszystkiego rozwiązać. Zajmujemy się więc niektórymi z nich w ramach tzw. trójstopniowej organizacji pracy naukowo-badawczej stosowanej w przemyśle lekkim, tj. wspólnie z Centralnymi laboratoriami przemysłowymi oraz laboratoriami fabrycznymi. Miernikiem działalności I. W. może być

wdrożenie do produkcji w ub. roku aż 53 naszych opracowań dających efekty ekonomiczne rzędu 108 mln. zł. Również w wspomnianej przed chwilą trójstopniowej organizacji pracy naukowo-badawczej wiodącą rolę I. W. jest wyraźna, bowiem koordynuje on poczynania tych wszystkich laboratoriów. Przykładem dobrego współdziałania Instytutu z przemysłem może być np. elana, a ostatnio laminaty, tj. nowe tworzywo syntetyczne, tzw. pianka poliuretanowa, stosowana zwłaszcza w konfekcji jako watolina.

— W co będziemy się ubierać w przyszłości?

— Trudno być prorokiem i mówić, jak będzie wyglądało ubranie człowieka za lat kilkanaście. Zmiany, jakie w tej dziedzinie zachodzą, są tak gwałtowne, że przemysł włókienniczy a szczególnie placówki, które mają te zmiany tworzyć, nie mogą sobie pozwolić ani na moment odpoczynku. Np. zmiany w bazie surowcowej. Przez tysiąclecia surowcami dla włókiennictwa były: wełna, bawełna, jedwab i len. Dopiero 30 lat temu pojawiły się celulozowe włókna sztuczne, a od lat 20 obserwujemy dynamiczny rozwój włókien pochodzenia chemicznego.

— „Ma Pan na myśli nylon i perlon?”

— To są nazwy handlowe tego najstarszego włókna syntetycznego. W nauce znane jest ono jako włókno poliamidowe i w różnych krajach nosi różne nazwy. W Polsce nazywa się steletem. Nowsze włókna syntetyczne, to elana i wreszcie nowe

tworzywo pianka poliuretanowa. Stosowana na tzw. laminaty. Jak więc Pan widzi zanosi się na trzecią zmianę skóry przez człowieka. Po futrach zwierząt oraz tkaninach z surowców naturalnych nosimy coraz częściej odzież z włókien chemicznych, a być może już jutro chodzić zaczniemy w piankach.

— „Jak Afrodyta?”

— Proszę nie żartować. Pianki poliuretanowe mają olbrzymią przyszłość. Są już takie techniki, które zalecają nie tylko ciąć piankę poliuretanową w płaty, ale i przerabiać na nici. Zresztą poliuretan nawet w obecnej już plankowej postaci wykazują interesujące właściwości użytkowe. Są cieplenne, a przy tym pozwalają na oddychanie skóry, niezwykle sprężyste, nie ulegają zniekształceniu wsku tek nie spotykanej dotychczas odporności na gnienie, pranie itp. Afrodyta nie marzyła nawet o takiej piance...

— Słowem rewolucja we włóknach...

— W najpełniejszym tego słowa znaczeniu. W rewolucyjnej Łodzi zachodzą rewolucyjne przemiany również i w dziedzinie techniki. Zmienia się nie tylko struktura łódzkiego przemysłu, ale i sam stary przemysł włókienniczy. W związku z chemizacją i automatyzacją włókiennictwa kształtuje się nowy zupełnie typ włókienniczo-eksperymentatora, nie tylko w laboratoriach i pracowniach naukowo-badawczych ale i przy maszynach.

Rozm.: K. WYRZYKOWSKA

Dalszy ciąg ze str. 1

A teraz — spostrzeżenie nr 1:

O ile akcja wczasów ma ogromne nasilenie w stosunku do dzieci w wieku szkolnym, o tyle nieco na jej marginesie są dzieci w wieku przedszkolnym i młodzież szkół średnich.

Kolonie letnie dla przedszkolaków organizują tylko nieliczne zakłady pracy, przedszkolnych punktów półkolonijnych jest zaledwie kilka. Półkolonie te mają frekwencję znakomitą, niektóre dzieci są przyprowadzane już o godz. 6.30 i to nieraz z odległości kilku kilometrów. Zdarza się, że taki przedszkolak przychodzi ze starszym bratem lub siostrą w wieku 10—12 lat. „Nasza pani” mówi wówczas: — „Zostań z nami! Baw się i jedz razem z maluchami!” No, bo jakże inaczej? W sytuacji, kiedy przedszkola są przez lipiec i sierpień zamknięte, co mają począć z dziećmi rodzice pracujący? Zwłaszcza ci, którzy nie mogą ich „podrzucić” rodzinie na wsi ani — zabrać ze sobą na wczasy?

Akcja kolonii letnich dla dzieci szkolnych ma już swoją długą tradycję i utarte formy. Wprowadzić nie czas jeszcze na jej podsumowanie, ale już dziś stwierdzić można, że ponad połowa dzieci łódzkich wyjeżdża na kolonie lub obozy harcerskie. Jesteśmy pod tym względem w czołówce krajowej! Obserwuje się jednak niepokojący proces odpychania Łodzi od morza.

Jak wiadomo, ze względu na specyfikę łódzkiego klimatu oraz stan zdrowotny naszych dzieci, najbardziej wskazany jest ich pobyt latem nad morzem. Tymczasem dysponując stosunkowo dużymi możliwościami finansowymi zakłady pracy województwa: krakowskiego, wrocławskiego, a zwłaszcza katowickiego „podkupują” po prostu naszych organizato-

rów oferując wysokie sumy na remont, czy doinwestowanie obiektów szkolnych, w których najczęściej kolonie letnie się znajdują.

Pod tym względem nie mogą z takimi np. zjednoczeniami węglowymi, lub hutami skutecznie „współzawodniczyć”, nasze zakłady pracy a tym bardziej — inspektoraty oświaty.

A poza tym te trzy województwa oferują (bo oferować mogą) wymianę na swoje atrakcyjne ośrodki w górach, w miejscowościach klimatycznych. Co może zaoferować w tej mierze Łódź? Bałuty, może Chojny lub Widzew?

Uchwała Prezydium naszej Rady Narodowej zezwalająca na pomoc w nowych inwestycjach szkolnych w miejscowościach nadmorskich pod warunkiem zabezpieczenia w nich pomieszczeń na kolonie letnie przyniesie, być może, pewną poprawę tej sytuacji, ale, jak dotąd, nasz stan posiadania obiektów kolonijnych w rejonach nadmorskich z roku na rok się kurczy. (W tym roku np. nie zorganizowano już ani jednego obozu harcerskiego w woj. koszalińskim). Sądzę, że konieczne jest energiczne wdrożenie w tę sprawę ze strony Min. Oświaty. Wydaje mi się, że województwa nadmorskie i inne posiadające atrakcyjne tereny wczasowe winny mieć narzucone „limity” punktów kolonijnych i obozowych dla Łodzi i Warszawy przede wszystkim.

Przyjrzyjmy się teraz, jak wygląda zorganizowany wypoczynek czy zabawa dzieci, które w czasie wakacji pozostały w mieście. Jeżeli idzie o ogródki jordanowskie i tzw. place zabaw zarówno prowadzone przez inspektoraty oświaty jak i TPD — to wymagają one większej opieki ze strony organizatorów i zainteresowania instytucji społecznych. Zdarza się bowiem, że opieka pedagogiczna jest tu za słaba i — co się z tym wiąże — frekwencja mizerna.

Ciekawą, pionierską i pożyteczną akcją opieki nad dziećmi z podwórka podjęło harcerstwo.

Akcja drużyn podwórkowych, wiążąca je w pewnym sensie „stanicę”, rozbiła namioty przy niektórych szkołach — dają dzieciom

pewną namiastkę obozowego życia.

Trzeba było widzieć w bałuckiej „staniej” przy ul. Sędziowskiej te rozmaite maści metalowe łóżka ze strychów i komórek przez dzieciarnię pościągane, żeby chociaż jedną noc spędzić w prawdziwym namiocie! Dzieci z tych „stanic” wychodziły na bliższe i dalsze wycieczki do parków, na boiska, poza miasto. Najdzielniejsi otrzymywali „premię” nie lada: udział w czterodniowym biwaku na obozie w Grotnikach.

Byłem na tym obozie. Przez jeden turnus przewinęło się ok. 60—70 dzieci a

rumowiskach przy nowo oddanych szkołach. (Wiemy, jak wygląda otoczenie nowo oddanej szkoły: sterty jakiegoś gruzu, cegły i licho wie czego). Czy nie należałoby w przyszłości urządzić je w otoczeniu przyjemniejszym i nie tak codziennym dla dziecka?

A więc spostrzeżenie nr 3: konieczność mobilizacji wszelkich sił społecznych wokół akcji opieki nad dziećmi pozostającym w czasie wakacji w mieście.

Szkole, harcerstwu, TPD pomóc muszą nie tylko ich najbliżsi sojusznicy: komitety rodzicielskie i opiekunowie czy Koła Przyjaciół Har-

„LATO, LATO, ZOSTAŃ DŁUŻEJ” ...

wień w ciągu miesięcy wakacyjnych ponad 500 dzieci przeżyje urok obozowych nocy i dni pod autentycznymi namiotami i w prawdziwym lesie!

Chapeau bas! — kochani druhowie. I niech nikt nie wydziewa, że to mało w stosunku do potrzeb łódzkich. Pierwszy, udany i pożyteczny krok został już zrobiony. W przyszłym roku bogatsi o dzisiejsze doświadczenia pomożemy naszym harcerzom, by każdy hufiec dla swojej dzielnicy był w stanie taki obóz zorganizować. Tylko — wszyscy „służmy poczytyw sprawie”. Największe potrzeby ma chyba nasze śródmieście, które powinno mieć ze trzy takie obozy. A „stanice” lepiej byłoby chyba urządzić na boiskach, w parkach, a nie — przy szkołach. Każda szkoła bowiem, choćby najlepsza, kojarzy się nieodparcie z pojęciem obowiązku, a więc — przymusu. Każdy z nas pamięta, jaki to miły dzień — zakończenie roku szkolnego. (To inna sprawa, że równie chętnie przyjeżdżamy jest dzień rozpoczęcia roku szkolnego).

„Stanice” tegoroczne urządzono na boiskach szkolnych, namioty rozbito na

cerzy ale również takie instytucje jak: terenowe komitety FJN, Komitety Blokowe, LK KFT, TKKF, Liga Kobiet itd. Należy zaznaczyć, że już w bieżącym roku niektóre z tych organizacji do sprawy się włączyły, jak np. Łódzki Komitet Kultury Fizycznej i Turystyki (akcja „otwartych boisk”).

Najczęstszą formą zorganizowanych wczasów dla młodzieży szkół średnich są obozy wędrowne. Są one bardzo przez młodzież lubiane, niektóre licea jak i szkoły zawodowe mają w tej dziedzinie swoje dobre tradycje. Trwają one jednak tylko dwa tygodnie. Pozostaje więc otwarta sprawa, co zrobić z pozostałymi 7 tygodniami wakacji?

Pozatem niektóre szkoły przystępowały do organizowania obozów zbyt późno. Stąd nie zabezpieczone noclegi, trudności w ustaleniu trasy.

Rzecz charakterystyczna, że obozy, które w istocie były jak najbardziej stałe (b. miły choć nieliczny obóz łódzkiej młodzieży pomagającej naszym archeologom w wykopaliskach nad Pilicą, czy obóz przysposobienia wojskowego w Toma-

szowie Mazowieckim) również trwały tylko dwa tygodnie.

Chodzi tu o podwyższenie stawki na wyżywienie, która przy globalnej kwocie takiej samej, jak przy obozie stałym (26-dniowym) jest w efekcie niemal podwojona.

Ale przecież, jeżeli rodzice wnoszą pewną dopłatę do kolonii swoich dzieci, to wnioś ją również dla dziecka starszego, żeby i jemu zapewnić 4-tygodniowy wyjazd z miasta.

W dążeniu do zapewnienia młodzieży szkół średnich należytego i dłuższego odpoczynku w okresie lata Kuratorium położyło silniejszy nacisk na organizowanie obozów stałych. Akcja ta napotyka jednak na trudności. Po pierwsze — ze względu na brak obiektów, gdzieby takie obozy można zlokalizować i konieczność wypracowania dla nich nowych form. Obóz jez. rosyjskiego pod auspicjami UNESCO ostatecznie urządzono w — Grotnikach. Nie jest to chyba miejscowość bardzo atrakcyjna dla łódzkiej młodzieży szkół średnich. Obóz XIX LO urządzono w — Tczewie: w Wiśle kąpieli wzbudziła, brak zresztą jakiegokolwiek plaży czy przystani, do lasu ok. 15 km, obóz w ślicznej, nowofunkcyjnej szkole ale — otoczenie, wiadomo, jak u nas panowie budowniczości po dwóch latach nie zdołali go doprowadzić do porządku. Byłem tam w połowie lipca, po kilkudniowych deszczach szkoła stała jak forteca na wyspie dookoła oblana wodą. Do tego budynek ten stoi na pyłach chuligańskich peryferiach miasta. Ktoś mógłby zapytać: Dlaczego taką imprezę nazywa się obozem? O co tu chodzi? Czy żeby młodzież zamieszła w Łodzi — mieście sypialni w czasie wakacji w mieście Tczewie?

Druga sprawa — to treść życia takiego obozu. Nie powinna być ona kopią kolonii dziecięcej. Nie tak bowiem

wiem nie działa rozkładowo na życie młodzieży, jak — nuda.

To dobrze, że kierownik obozu potraktował Tczew jedynie jako bazę wypadową dla licznych wycieczek. To dobrze, bo dzięki temu i z tego obozu młodzież wyniesie na pewno wiele miłych wspomnień.

I tu — spostrzeżenie nr 4: należy w znacznie większym stopniu rozstrzygać z roku na rok akcję stałych obozów dla młodzieży.

„Starych” to wcale nie znaczy „starych”, osiadłych. „Starych” — to znaczy — czterotygodniowych ale charakter ich musi być bardzo zróżnicowany zależnie od zainteresowań danej grupy młodzieży. A więc mogą to być obozy językowe, sportowe, etnograficzne, krajoznawcze, przyrodnicze, kulturalno-oświatowe, leśne, żniwne, archeologiczne, a nawet — muzyczne, malarskie itd., itd.

Wyobrażam sobie to w ten sposób, że każda szkoła średnia weźmie sobie za punkt honoru urządzić w swojej dzielnicy obóz określonego charakteru. Z lokalizacją nie będzie poważniejszych kłopotów, jeżeli przygotujemy namioty. Wystarczy wówczas oparcie dla obozu w jakimś takim budynku gospodarczym, gdzie się pomieści kuchnia, administracja, magazyn, izolatka itp. W organizacji obozu, w planowaniu zajęć aktywny udział wziąć musi sama młodzież — rada obozowa.

Na zakończenie jeszcze jedna uwaga: pomimo wyrażonej uchwały Łódzkiej Komisji Wczasów dla Dzieci i Młodzieży nie udało nam się zaprowadzić wyraźnego ładu w dziedzinie kontroli placówek. Ilość „komisji”, które po różnych „liniach” dokonywały nalotów na niektóre (zwłaszcza nadmorskie kolonie była ciut, ciut — za duża.

MIECZYSLAW
WOŹNIAKOWSKI

W najbliższym numerze m. inn.:

- Pourlopowe refleksje: uderzanie po kieszeni
- Zjeść albo nie zjeść — dylemat gastronomiczno-hamletowski
- „Rycerski” Wehrmacht zdobywa Zgierz
- Wyprawa do Czarnolesia

JAK ZA CZASÓW BOYA...

Dyskusja jaka wywiązała się na łamach naszego pisma w związku z okastrowaniem w Polsce filmu „Matka i córka”, na skutek interwencji dra Marcinkowskiego z Krakowa — zmierza ku końcowi. Wyowiedziały się obydwie strony i uzasadniły swoje stanowisko. Artykułem Wojciecha Wierzeńskiego — pod którym podpisuje się i nasza redakcja, a także listem Czytelnika — kończymy tę dyskusję. Była ona sygnałem ostrzegawczym, ujawniającym jak wiele jest u nas jeszcze nieporozumień dotyczących pojmowania funkcji i roli dzieła sztuki. Dyskusja ta będzie chyba także pewną nauką dla tych, którzy zbyt pochopnie i na skutek jednostkowej interwencji zdecydowali się okastrować film „La ciociara”.

RED.

Dyskusja wokół losów filmu „ciociara” zatoczyła szerokie kręgi. Padają coraz to silniejsze sformułowania i zarzuty. W swym nowym wystąpieniu dr Marcinkowski powołał się na niebyle jakie atuty: kryteria oceny dzieła sztuki w świetle odpowiedzialności społecznej i wychowawczej; twierdząc, jakoby jego przeciwnicy negowali ten aspekt, bawiąc się w „sztukę dla sztuki”.

W poprzednim artykule — „Powrót ks. Pirożyńskiego” zrelacjonowałem jedynie przebieg krakowskiej kampanii „Matki i córki” nie wdając się w komentarze i zbiteczne oceny. Wydawało mi się, że przytoczony materiał argumentacyjny dr Marcinkowskiego, sam za siebie aż za dużo powie. W świetle nowych głosów potrzebne jest jednak pewne zgłębienie i wyjaśnienie sprawy — o co w gruncie rzeczy poszło, gdy nazywano film de Siki „Obelgą rzuconą prostym, uczciwym ludziom”.

Zaatakowana scena gwałtu dwu kobiet jest niewątpliwie sceną w swych założeniach drastyczną. Zaznaczam w założeniach. Bo co w niej wywierało największe wrażenie? Scena (wycięta w wyniku interwencji dr Marcinkowskiego) przedstawiająca w szybkim najeździe ogromne, przeżalone oczy dziecka. Trzeba być artystą dużej klasy, by w jednym ujęciu wypowiedzieć tak wiele, by zawrzeć tak silny ładunek emocjonalny. Nie było w tym filmie ani „brutalnego naturalizmu” ani „pogoni za niezdrową sensacją”. Sceny pogoni za kobietami i walki z żołnierzami pozostały zresztą w wersji jaka trafiła na ekrany. A więc o co poszło? Poszło o moment emocjonalnie najsilniejszy, a nie pornograficzny, który jednak zwycięsko przechodził kryteria etyczne i moralne. Rzecz ma zgola inne tło. Typowe zresztą, gdy idzie o ocenę dzieła sztuki z pozycji ludzi innego pokolenia, ludzi, którzy przy tym nie śledzą bacznie ewolucji sztuki filmowej. Istniał w filmie i to jeszcze przed kilkunastu laty umowny kanon unikania spraw drażliwych. O wszystkim mówiło się ogólnikami. Z samego toku narracji widz domyślał się co było w scenach, które nie zostały przedstawione. Zjawiał się jednak prąd „penetrujący”, pragnący ująć wszelkie ludzkie odruchy w bliskim, intymnym kontakcie z widzem. „Nowa fala” dała tu wiele możliwości cytatów. W filmie „Matka i córka” chodziło oczywiście o co innego. Ale potrzebne było podobne założenie zrealizowania artystycznej tezy dzieła. Wstrząs, jaki scena gwałtu wywiera, potrzebny był, gdyż dzięki temu wypłynął silny aspekt antywojenny. Bez sugestijnej ostrej sceny w której ofiarami wojny — (choć w tej właśnie, absurdalnej, zdawałoby się formie) padają kobiety, które chciały przed nią uciec za wszelką cenę, nie byłoby to możliwe.

Nie pozostało zatem obojętne — jak zrealizować tę scenę. Czy „po staremu” zasygnalizować jedynie zaistniały fakt, czy w silnym autentycznym skrócie, symbolicznym ujęciu, zawrzeć dramatyczną, krzyżującą tezę.

I oto sprawa druga. Zarzut dr Marcinkowskiego — iż „Matka i córka” poprzez brak scen ukazujących ukaranie winnych przestępstwa, uczy gwałtu i bezprawia. Nieporozumienie drugie wypływające z identycznego źródła. Obok tradycyjnych, mieszczańskich kanonów sztuki moralizatorskiej, gdy nastąpić musi „catharsis” już na scenie — a miażdżącą tu mierzą dr Marcinkowski również film „Matka i córka” — istnieją w sztuce inne, autentyczne, dojrzałe sposoby. Jest nim wywieranie tym silniejszego protestu przeciw bezprawiu i złu poprzez ukazanie zła triumfującego i zwyciężającego. Tak postąpił reżyser „La ciociara”. I dlatego tego film nie pozostawia nikogo obojętnym wobec traktowanych tam problemów. Dramat „Matki i córki” silnie krzyczy przeciw złu wojny niż dziesiątki publicystycznych filmów.

Argumenty mające uzasadnić decyzję okaleczenia wybitnego filmu, wspierające się na hasle zdrowia społecznego — zaczynają się poważnie chwiać. Nie wystarczy w obronie przegranych pozycji obrzucać przeciwników wyzwiskami i zarzucać im nie docenianie aspektu wychowawczego i społecznego filmu. Argumentów takich zresztą ze stron przeciwnych nie było. Film sam broni się przed podobnymi zarzutami. Nastąpiło przykre nieporozumienie, wynikłe z traktowania filmu, jeżeli nie starszowieckiego poglądu na to, czego dyktuje, jeżeli nie starszowieckiego poglądu na to, czego dyktuje „nie wolno” a „co wolno”, z przesądów i nawyków patrzenia na wszystko z pozycji taniego moralizatorstwa.

Dr Marcinkowski czuje się obrażony nazwaniem go nowym o. Pirożyńskim. Nie wiem skąd takie sformułowanie, gdyż pisałem jedynie o „powiewie ducha o. Pirożyńskiego” w aferze wokół filmu de Siki. Ale jak tu nie porównywać do Boya gdy narzucają się wprost analogie do tego co pisał on przed kilkudziesięciu laty. Słynny krytyk kpil z czasów kiedy pisał o teatrze i operze ludzie z cenionych sfer inżynierów i lekarzy — lecz mający do czynienia ze sztuką tyle co... nic.

Nie idzie o rzecz błahą. Sprawa „La ciociara” jest sygnałem ostrzegawczym. Czekają na nas filmy Bunuela „Viridiana” na czele, nowe pozycje Bergmana i innych z „Wielkich artystów współczesnych”. Filmy niejednokrotnie ostre, drapieżne, atakujące kanony pojęć ludzi tkwiących w przedpółwiecznych poglądach na sztukę. Filmy te, kierowane dla dojrzałych widzów, stanowią istotną część naszej współczesnej kultury. Przykład losów filmu „Matka i córka”, zgola nieoczekiwanych — każe z niepokojem myśleć — co może stać się również z tamtymi filmami. Trzeba dyskutować i bronić praw sztuki, gdy jedynym argumentem przeciw nim, jest zaciekłość i rezygnacja w tej dziedzinie osób — nawet skądinąd zasłużonych i cenionych



Jedno z ostatnich zdjęć Marilyn Monroe.

OGLĄDAMY na EKTRANACH

Filmy, które w niniejszym felietonie przedstawiamy mają jeden wspólny mianownik — ukazują problemy ludzkiej psychiki, różnych postaw w różnych sytuacjach życiowych, środowiskach, warunkach. Pierwszy z nich jest dla nas miłym zaskoczeniem. Oto kinematografia argentyńska przy współpracy hiszpańskiej przedstawia „REKĘ W POTRZASKU” wyświeclaną w 1961 roku i nagrodzona ex equo z „Reweicją” „Kroniką jednego lata” Jean Roucha — nagroda krytyki filmowej „FIPRESCI”. Chyba tylko zbliżeniem okoliczności film reżyserowany przez Leopoldo Torre Nussona, syna również reżyse-

ra filmowego Leopoldo Torre Riosa („Niebezpieczny wiek”), wyprzedza w wejściu na polskie ekrany znakomite dzieło Luisa Bunuela „Viridiana”, nagrodzone Grand Prix na tym samym festiwalu w Cannes. Nie bez powodu oba filmy zostały tutaj wymienione. Otóż Leopoldo Torre Nussona próbuje podjąć wypowiedź Bunuela zawartą w „Viridiana”. Problemy ludzkiej tajemności, moralności, ludzkiego zakłamania i poniżenia choć może podobne, inaczej brzmią w filmach obu wymienionych reżyserów. Bunuel atakuje zakłamanie, fałszywą moralność z pozycji laickiej. Pasja z taką obnaża morale człowieka i pole-

mizuje z narzuconą postawą egzaltacji, ślepej wiary została skierowana w określony cel. „REKA W POTRZASKU” Nussona jest zaś tylko ciekawym dramatem psychologiczno-oświecawym.

Trochę naciągane wydaje się szukanie tzw. dramatu społecznego, problemów na miarę włoskiego neorealizmu w całym szeregu filmów kryminalno-sensacyjnych produkcji włoskiej, które ostatnio weszły na polskie ekrany. Mam tu na myśli dwa filmy Damiano Damiano — „SZMINKA DO UST”, „NAJEMNY MORDERCA” oraz wprowadzony do rozpowszechniania film Pietro Germiego „W SŁEPEJ ULICZCE”. Germi, autor „Czerwonego Sygnału” realizował po prostu ciekawy film kryminalny rozegrany we współczesnej włoskiej rzeczywistości. Ukazał cały wachlarz ludzkich postaci uwikłanych w me-

chanizm policyjnego śledstwa. Dał ciekawą zagadkę kryminalną ze stereotypowym pytaniem: „kto zabił?”. Dla informacji dodać warto, że w „Ślepej uliczce” gra m. in. oprócz reżysera Pietro Germiego (rola komisarza policji) także: — Claudia Cardinale i Franco Fabrizi („Walkonia”, „Niebieski ptak”, „Rzymskie opowieści”). Jedno warto podkreślić — włoscy twórcy filmowi z coraz większym powodzeniem realizują dobre kryminały, w nich nie ustępując francuskim czy angielskim. A na dobry kryminał warto popatrzeć w okresie letniej kinkulu.

Ona też może być przyczyną, że niżej podpisany będzie wydrwiał i psłoczył na następny omawiany film, zrealizowany w Anglii przez Vala Guesta. „WCZORAJSZY WROG” jest do pewnego stopnia rekompensatą dla wszystkich kinomanów, którzy daremnie czekali na zakup tytułu już opisanego i straszonego „Mostu na rzecę Kwaj”. Miejscom akcji filmu podobnie jak we wspomnianym ożebciu filmowo-muzycznym jest Burma i fragment paroletnich boiów z Japończykami. Jeżeli szukać dalszych podobieństw i analogii to nie tylko miejsce i czas akcji są prawie identyczne, ale tak samo ustawiona jest postać głównego bohatera — brytyjskiego kapitana, bezwzględniego w wydawanych i wykonywanych rozkazach. Reprezentując to, co może być najbardziej odrażające w człowieku nie leżącym się z ludźmi, a przede wszystkim z ludzkim życiem. Jego frontowy przeciwnik — japoński oficer nie dorównuje mu co prawda wzrostem i aparycją, ale okazuje się tak samo „dżentelmenem” wojennym zabijającym bez zmiaru i okazy. Jest w tym filmie mimo ograniczonego schematu fabularnego — prawda o bezmyślności wojny, o jej ślepych okrucieństwach godzącym bez względu na przynależność polityczną i rasową.

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK



SZANOWNA REDAKCJO

Z uczuciem zdziwienia i nieomal przerażenia przeczytałem wypowiedź dr Marcinkowskiego, stanowiącą dalszy ciąg polemiki jaka rozgorzała wokół barbarzyńskiego okaleczenia filmu „Matka i córka”. Tak się złożyło, że znam dobrze kulisy całej sprawy i miślem okazję wysłuchać demagogicznego wystąpienia rzeczoznawcy dr Marcinkowskiego podczas dyskusji na ten temat w krakowskim klubie studentek. Podczas tej dyskusji dr M. został jednomyślnie poświadczony za przyczynienie się do cieża „La ciociara”. Opinia społeczeństwa krakowskiego jest

w tej sprawie raczej jednomyślna, i nie tu nie pomoże pieniaczowi przejawiającemu się w obrzucaniu przez dr M. jego przeciwników błotem. Dr M. jest ekstremistą, którego dobre — być może — intencje rozmieniają się na nienajlepsze skutki z powodu „wszystkowizującego” angażowania się w sprawy, na których się nie zna. Nie na to nie poradzi — sztuka jest sztuką, i powinni o jej kształcie decydować przede wszystkim artyści, którzy — wbrew temu, co o tym sądzi dr M. — potrafia wziąć na siebie odpowiedzialność bez pomocy działaczy antyalkoholowych i seksuologów. Ci ostatni powinni raczej zadowolnić się ferowaniem wyroków na polu, które jest im znane. Dr M. wytoczył już wiele argumentów dla usprawiedliwienia swojej ingerencji cenzorskiej. Dowiadywałem się, że film jest bestialski (może raczej — ukazuje bestialstwo, doktorze M.), że nazistowski (bo żołnierze aliancy — gwałcilieli byli Algierczykami), że wyzwała niezdrowe instynkty etc. etc. Zainteresowałem się tą sprawą, obściwowałem kilkakrotnie reakcję widzów, pytałem widzów w różnym wieku, Ci, którzy oczekiwali sensacji, byli zawiedzeni (mam na myśli sensację typu seksualnego). To nie był gwałt, to był obraz gwałtu, który wstrząsnął widzami jako protest przeciwko

wojnie. Nałwa, prywatna i jakże mieszczańska estetyka dr M. wyklucza jednak ukazanie rzeczy antyhumanistycznych jako protestu przeciwko antyhumanizmowi. Estetyczny horyzont dr M. zatrzymał się co najmniej dwa wieki wstecz — gdzieś w okresie Laur i Filonów. I oto zachodzi wypadek bez precedensu — człowiek o skłonnościach demagogicznych i prywatnych poglądach na estetykę, szermując pseudonaukowymi argumentami, a raczej zastanawiając się „naukowym autorytetem” (?), powoduje okaleczenie dzieła sztuki. Pytam: czy nie nowy ks. Pirożyński? Dr M. dziwi się i obraża za to porównanie. Ale jeśli w czasach Boya walczyło się przeciwko obtłuczaniu genitalii marmurowym posagom, to dziś, wleczący ewolucję poglądów estetycznych, należy walczyć przeciwko wyćięciu sceny z „Matki i córki”.

Z. M.

MIESZANKA FILMOWA

odgłosy str. 3

W przededniu rocznicy wybuchu drugiej wojny światowej

KAZIMIERZ PASZKOWSKI

CO PRZYNIOSŁY ŚWIATU WOJNY?

Ogromne zbrojenia mocarstw zachodnich, niebezpieczeństwo — które grozi światu — razie użycia broni atomowej, każą wszystkim ludziom dobrej woli czynić wszystko, by uniknąć wojny i usilnie pracować na rzecz pokoju i szczęścia całej ludzkości. Jakkolwiek niepodobna obliczyć, ile wojen zna historia świata i ilu ludzi zginęło, to biorąc za podstawę materiał historyczny, jaki udało się uczynić z gromadzonego, możemy sobie z dużym prawdopodobieństwem wyobrazić tę najbardziej ponurą i straszną statystykę. Statystykę taką — dokument iście benedyktyńskiej pracy — przygotował profesor dr Pella z uniwersytetu w Bukareszcie. Daje nam ona może nie zupełnie dokładny, ale bardzo do prawdy zbliżony, i jakże tragiczny obraz, dziejów wojen i zniszczeń na przestrzeni kilku tysięcy lat aż po dzień dzisiejszy. Powtórzmy więc za rumuńskim historykiem tę statystykę.

Od roku 1469 przed naszą erą do roku 1930 przeżywała ludzkość tylko 287 lat pokoju, a 3135 lat wojen. Od roku 1500 przed n. e. do roku 1860 naszej ery, zawarły państwa świata około 8.000 traktatów o „wiecznym pokoju”. Traktaty te trwały przeciętnie około 2 lat! Od początku Wojny Trzydziestoletniej odbyło się w samej tylko Europie 1700 większych bitew, w której brały udział wojska francuskie, angielskie, pruskie i austriacko-węgierskie, prócz innych. Francja walczyła w tym okresie 73 lata przeciw Anglii, 80 lat przeciw Prusom i Niemcom i 62 lata przeciw Hiszpanii. Najdłuższy czas wojny jaki znają dzieje, to w średniowieczu — wojna między Anglią a Francją, która trwała 100 lat, najkrótsza była wojna Austrii z Sycylią w roku 1349, trwająca tylko 6 dni.

Nikt nie jest w stanie obliczyć, ile ofiar w ludziach pochłonęły wojny w niepaństwowych czasach, lecz jeśli weźmiemy pod uwagę czasy dostępne już ludzkiemu poznaniu, posiadany materiał historyczno-statystyczny da nam liczby zbliżone do prawdy. W Wojnie Trzydziestoletniej straciły Niemcy 12 milionów żołnierzy. Teraz przytoczymy straty w ludziach, jakie poniosły różne państwa nie we wszystkich, a tylko w główniejszych wojnach od roku 1800. Kampanie Napoleona ko-

sztowały Francję 10 milionów zabitych! Z wyprawy wielkiej armii, która w roku 1812 wyruszyła na podbój Rosji wróciło zaledwie około 20.000 żołnierzy, choć armia liczyła 600.000 ludzi! Od roku 1850 do roku 1897 padło w licznych wojnach 2.500.000 ludzi. Wojna Stanów Zjednoczonych północy z południem (1861—1865) kosztowała Amerykę około 15 milionów dolarów i pochłonęła 800.000 ludzkich ofiar. Za tę zawrotną na owe czasy sumę można wtedy wykupić wszystkich niewolników świata, o których wolność walczone i ocalić życie 800.000 ludzkich istnień. Prawie miliard dolarów kosztowała Anglię wojna Krymska, a ze 150.000 armii brytyjskiej biorącej w niej udział poległo 20.000, a około 100.000 było rannych. W wojnie francusko-włoskiej 1859 roku poległo z obu stron 55.000 żołnierzy, w austriacko-pruskiej 1866 roku było 400.000 zabitych i rannych ogółem, zaś wojna rosyjsko-turecka 1859 roku pochłonęła łącznie 1.250.000 żołnierzy. Ogromne straty w ludziach i w kosztach wojennych pochłonęły wojny na Bałkanach, powstania Bokserów w Chinach oraz wojna rosyjsko-japońska 1904 roku.

Pierwsza wojna światowa 1914—18 kosztowała obie wojujące strony setki miliardów dolarów. Państwa alianckie wydały na nią dwa razy więcej niż mocarstwa centralne. Z 69 milionów ludzi biorących w niej udział, państwa alianckie straciły 5 milionów zabitych i 14 milionów rannych, państwa centralne 4 miliony zabitych i 7 milionów rannych.

Nierównie więcej ofiar w ludziach i kosztach pochłonęła druga wojna światowa, jeżeli porównać jej wyniki ze stratami pierwszej wojny światowej. Ogromny rozwój broni i tzw. konwencjonalnej, lotnictwo bombardujące, a nade wszystko barbarzyńskie prowadzenie wojny przez hitlerowców, spowodowały też znacznie większe ofiary niż wszystkie wojny, jakie znają dzieje ludzkości. Wojna ostatnia pochłonęła ponad 50 milionów ludzi w zabitych, rannych i inwalidach wojennych. Sam Związek Radziecki stracił na niej 30 milionów ludzi w zabitych, rannych i kalekach, zaś największe straty, biorąc procentowo, poniósł naród polski. Około 6 milionów ofiar w ludziach, zniszczenie 42 proc. ogólnego majątku narodowego, nieobliczalne straty w pamiątkach historycznych, pomnikach kultury i dziełach sztuki — oto nasz bilans najtragiczniejszy.

Nie trzeba sądzić, że materiał statystyczny, przyto-

ANDRZEJ OSTOJA

Z notatnika prokuratora

Jak doszło do tego, że Wężykowska mogła bezkarnie w ciągu trzech lat uprawiać swój proceder i dopiero przypadek wydal ją w ręce sprawiedliwości? Dlaczego Kasy Pogrzebowe ZPB im. Obronców Warszawy, Obronców Westerplatte, Adama Mickiewicza, Karola Liebknechta, Gen. Waltera i ZPW im. Władysława Reymonta w Łodzi wypłaciły Wężykowej i jej wspólnikom kwotę co najmniej 125.400 złotych z tytułu bezprawnie pobranych 73 zasiłków pogrzebowych? Jak to się stało, że odpowiedzialni za wypłaty urzędnicy nie zwrócili uwagi na to, że wielokrotnie dokonują wypłat tym samym osobom? Jak mogło się zdarzyć, że wypłacano w wielu wypadkach po kilka zasiłków na jednych i tych samych rzekomych „nieboszczyków”?

Sledztwo prowadzone początkowo przez Prokuraturę Łódź-Sródmieście, a następnie przez Prokuraturę Wojewódzką dla m. Łodzi dało odpowiedź na te i na inne pytania. Stwierdzono, iż spryt Wężykowej szedł w parze z brakiem odpowiedzialnej kontroli przy dokonywanych wypłatach. Te dwa elementy pozwoliły Wężykowej i jej wspólnikom bezkarnie okradać kasy pogrzebowe przez 3 lata.

Sposób działania Wężykowej, aczkolwiek niezwykły w swoim pomysłach i wykonaniu, w gruncie rzeczy okazał się stosunkowo prosty. Ustalono, że pierwszy zasiłek pogrzebowy podjęła Teresa Wężyk w dniu 10 grudnia 1936 roku z Kasy Pogrzebowej ZPB im. Obronców Warszawy, gdzie wówczas była zatrudniona. Był to zasiłek za jej zmarłego dziadka Walentego, Wężyka, w wysokości 500 zł podjęty nieprawdnie, w oparciu o sfalszowane zaświadczenie Komitetu Blokowego z jej miejsca zamieszkania, stwierdzające, iż zmarły był na jej częściowym utrzymaniu. Wówczas to Wężykowa zaznajomiła się z formalnościami związanymi z wypłatami zasiłków pogrzebowych i doszła do wniosku, że jest na drodze do zrobienia fortuny. W krótkim czasie z różnych zakładów podjęła 6 zasiłków i tak z uczciwego człowieka stała się przestępcą.

Kasy Pogrzebowe poszczególne zakłady wypłacają swoim pracownikom zasiłki pogrzebowe w wypadku zgonu członków ich rodziny, jeżeli pozostawali oni na całkowitym lub częściowym utrzymaniu danego pracownika. W wypadku zgonu pracownika lub rencisty, który przed przynależnością do zakładu był zatrudniony w danym zakładzie, zasiłki pogrzebowe wypłacano członkom rodziny zmarłego, z którymi zamieszkiwał przed śmiercią. Obowiązującymi dokumentami stanowiącymi podstawę do wypłaty zasiłku, był skrócony odpis aktu zgonu i zaświadczenie Komitetu Blokowego stwierdzające, że zmarły był na częściowym lub całkowitym utrzymaniu osoby ubiegającej się o przy-

znanie zasiłku. Wysokość zasiłku zależała od tego, czy zmarły był pracownikiem czy też członkiem rodziny pracownika. W niektórych zakładach dodatkowym warunkiem wypłacenia zasiłku było przedstawienie zaświadczenia działu personalnego zakładu, iż osoba ubiegająca się o zasiłek lub osoba zmarła była lub jest zatrudniona w zakładzie. Jak z tego widać, Wężykowa na drodze do upragnionych pie-

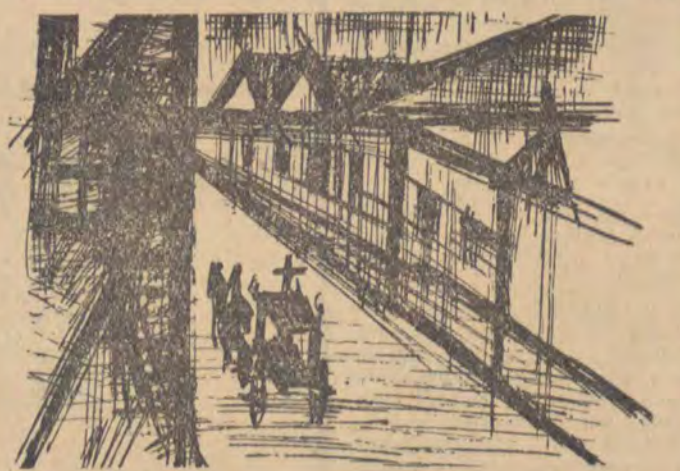
FABRYKANTKA UMARŁYCH¹⁾

niędzy i łatwego życia musiała pokonać liczne trudności, musiała również liczyć się w każdej chwili z możliwością zdemaskowania przez urzędników Kas Pogrzebowych.

Wężykowa we wszystkich wypadkach działała według raz ustalonego schematu. Najpierw należało zdobyć oryginalne odpisy skróconych aktów zgonu. W tym celu Wężykowa na podstawie nekrologów ukazujących się w prasie i rozplakatowanych na mieście, ustalała nazwiska osób ostatnio zmarłych, dowiadywała się, gdzie te osoby mieszkają i z właściwego terenu Urzędu Stanu Cywilnego podejmowała odpisy skrócone aktów zgonu. Następna czynnością, wymagającą niemało wprawy, było wywabienie wszystkich danych personalnych z otrzy-

mano. System pobierania zasiłków na osoby faktycznie zmarłe krył w sobie niebezpieczeństwo o którym Wężykowa wiedziała. Jasne jest bowiem, że rodzina zmarłego pobierała po jego śmierci zasiłek pogrzebowy. A zatem Wężykowa, również rzekomo reprezentująca „rodzinę” i „jedyną opiekunkę” pobierała już drugi raz z tej samej Kasy zapomogę na tą samą osobę! Tupej Wężykowej był jednak tak wielki, że nie zaważała się podejmować takie ryzyko, licząc na bałagan panujący w Kasach i nieudolność urzędników. Obliczenia jej, jak się okazało, były niestety słuszne. Aby nie przeciągać struny w stosowaniu jednej metody, poczęła Wężykowa „uśmiercać” oso-

by żyjące. Po prostu wystawiała karty zgonu na żyjących rencistów różnych zakładów, pobierając zasiłki na ich pogrzeb. Nie było tu ryzyka ujawnienia podwójnego zasiłku, było jednak ryzyko ujawnienia afery w wypadku, gdyby osoba rzekomo zmarła zjawiała się w danym zakładzie pracy lub została spotkana przez byłe koleżanki chociażby na ulicy. Jak wykazało sledztwo, Wężykowa nie poprzestała na stosowaniu wyżej opisanego schematu. W wielu wypadkach Wężykowa przedstawiała w wydziałach personalnych zakładów oryginalne odpisy aktów zgonu osób istotnie zmarłych, które jednak nie były nigdy pracownikami danych zakładów. Nikomu z urzędników nie przyszło do głowy sprawdzić, czy osoba zmarła istotnie jest rencistą



manego dokumentu, z wyjątkiem podpisów i pieczęci. Teraz należało ustalić, jakie osoby, spośród rencistów poprzednio zatrudnionych w różnych zakładach w ostatnim okresie zmarły, trzeba było zdobyć dokładne dane personalne tych ludzi i wpisać je do przygotowanych aktów zgonu. Ustalenia te nie były proste i wymagały od Wężykowej energii i dużego sprytu, gdyż stale musiała uważać, aby nie wzbudzić przy tym nieczyliwych podejrzeń. Jak widać jednak, Wężykowej na

przedsiębiorstwa! W oparciu o ustne oświadczenie Wężykowej stwierdzono na piśmie fakt zatrudnienia zmarłego, co z kolei dla Kasy Pogrzebowej było podstawą wypłaty zasiłku.

Posiadanie oryginalnego lub sfalszowanego aktu zgonu nie wystarczało jednak do podjęcia pieniędzy. Trzeba było mieć jeszcze zaświadczenie Komitetu Blokowego swego miejsca zamieszkania, stwierdzające, że osoba zmarła była na utrzymaniu Wężykowej. Tutaj nieocenioną pomoc sta-

nowiła funkcja społeczna jej męża, który był zastępcą przewodniczącego Komitetu Blokowego i w związku z tym Wężykowa miała swobodny dostęp do tak potrzebnej pieczęci. Wypisanie fałszywego zaświadczenia podstępownictwem pieczęcią nie stanowiło już żadnej trudności. Aby jednak nie składać w Kasach Pogrzebowych zaświadczeń stale tego samego Komitetu Blokowego, Wężykowa wpadła na nowy pomysł. Polecała swoim współpracownikom Marii D. i Henryce K. wypisywanie ołówkiem różnych zaświadczeń, na przykład w sprawie przydziału węgla. Po uzyskaniu na takim zaświadczeniu pieczęci Komitetu Blokowego miejsca zamieszkania Marii D. czy też Henryki K., wystarczało tylko wytrześć ołówek i pod pieczęcią wpisać potrzebne zaświadczenie. Na tym nie kończyły się jednak trudności aferyzystki. Wężykowa słusznie obawiała się, że w końcu musi zwrócić uwagę najbardziej nawet łatwowiernych urzędników fakt, że stała ta sama osoba zgłasza się po odbiór zasiłków na osoby będące rzekomo na jej utrzymaniu. Nie można bowiem zapominać, iż działalnością przestępczą były objęte Kasy Pogrzebowe zaledwie siedmiu zakładów. Aby zmniejszyć niebezpieczeństwo rozpoznania Wężykowa musiała „zatrudnić” pomocników. Dlatego też w styczniu 1938 roku wciągnęła do współpracy Marię D., w listopadzie 1938 roku Henrykę K., a w maju 1939 roku własnego męża Waldemara Wężyka.

Czarne ubiory i udawana rozpacz przy podejmowaniu zasiłków stanowiły już tylko ostateczne wykończenie i oprawę, jakże zresztą przydatną z psychologicznego punktu widzenia. Bo czyż pracownik działu personalnego danego zakładu widząc zalaną łzami kobietę w żałobie miał serce sprawdzić, czy istotnie zmarły był pracownikiem zakładu? Poświadczenie zatrudnienia odbywało się w tych warunkach „na słowo” Wężykowej czy też jej współpracowników. Czy urzędnicze Kasy Pogrzebowe przyszło do głowy ustalić, czy za zmarłą faktycznie osobą nie podejmowano już przedtem zasiłków pogrzebowych? Nie, urzędnikom tym nie przychodziło na myśl, że trzeba wykonać czynności leżące w zakresie ich obowiązków.

I dlatego w ciągu trzech pełnych lat „przedsiębiorstwo” Wężykowej działało bez przeszkód przynosząc niezły dochód, chociaż tak łatwo można było sprawców w każdej chwili zdemaskować. I dlatego też na ławie oskarżonych, obok aferyzystów zasiadli łatwowierni urzędnicy.

Na zakończenie tej niecodziennej i niezwykłej sprawy, godnej pióra Gogola, przytoczę jeszcze jeden szczegół charakteryzujący oskarżonych: w swej niepoohamowanej wprost żądzy pieniędzy nie zawahali się oni „uśmiercić” nawet swoich matek. Waldemar Wężyk podjął zasiłek pogrzebowy na swą żyjącą matkę, podobnie jak i Henryka K., której rzekoma „śmierć” jej matki przyniosła kwotę 3000 złotych.

Wyrokiem z dnia 11. III 1960 roku Sąd Wojewódzki dla m. Łodzi uznał wszystkich oskarżonych winnymi zarzucanych im aktów oskarżenia czynów i skazał Teresę Wężyk na 8 lat więzienia i 15.000 zł. grzywny; Marię D. na 5 lat więzienia i 5.000 zł. grzywny; Henrykę K. na 3 lata więzienia i 3.000 grzywny i Waldemara Wężyka na 1 rok i 6 miesięcy więzienia oraz 1.500 zł. grzywny. Oskarżeni z racji niedopełnienia swych obowiązków, referenci działów personalnych kilku zakładów skazani zostali na kary po 6 m-cy więzienia, z warunkowym zawieszeniem ich wykonania.

Sledztwo prowadził i oskarżał prokurator Edmund Bruzik

WCZASY

„Z Ewunia“

(Dalszy ciąg ze str. 1)

...mowy o najdrobniejszej nawet przepierce.

Nad kasą kartka z napisem: „Jeden wsad kosztuje 21 złotych“. Waciu, stary świntuch, robi jakieś głupie dowcipy na ten temat. Obok w złotych ramkach instrukcja, którą zaczynamy uważnie studiować.

— „Po przybyciu do salonu klient wykonuje następujące czynności.“

Dwukropek. Punkt pierwszy. Przy kasie waży bieliznę oddzielnie białą i kolorową. Bieliznę należy przesortować w domu.

Punkt drugi. Uiszcza opłatę liczoną osobno za każdy pełny 3,5 kg wsad pralniczy.

Punkt trzeci. Pobiera odważoną porcję środków piorących.

Dalsze studiowanie czynności klienta w salonie pralniczym przerwała miła pani pytając, ile wsadów sobie życzymy.

Waciu miał, jak się okazało — dwa, ja tylko jeden.

Przez następne pięć minut wykonał dwa pierwsze punkty z instrukcji to znaczy zważyliśmy bieliznę i uiszciliśmy opłatę. Potem wykonaliśmy punkt trzeci... czyli pobraliśmy środki piorące i punkt czwarty... czyli zajęliśmy miejsce przy wyznaczonej pralni i przystąpiliśmy do prania bielizny.

Przed nami złowrogo warcząc stały długim rzędem pralnie. Na nich ustawiono środki piorące. Były to trzy butelki w różnych kolorach: niebieskim przypominającym rozcińczony atrament, żółtawo-brązowym, przypominającym sfermentowane piwo i trzeciej zupełnie nijakim przypominającym witaminizowany napój orzeźwiający „Cytrus“. Waciu nawet chciał spróbować, co jest co, ale mu odradziłem. Z nowej instrukcji dowiedzieliśmy się, że to wazujące i prychające nazywa się pralnicą „Romo R-57“.

W myśl fachowych wskazówek zawartych w punkcie pierwszym, włożyliśmy do pralnicy maksimum 3,5 kg bielizny, zamknęliśmy drzwiczki mocno je dokręcając, potem zgodnie z punktem drugim, wprowadziliśmy pralkę w ruch, kręcąc gałką po skali zgodnie ze wskazówkami zegara aż do chwili kiedy zapaliło się czerwone światło kontrolne sygnalizujące bieg pralnicy.

Waciu chodził od instrukcji do pralnicy, podając kolejne czynności a ja zupełnie przerażony próbowałem (zgodnie z instrukcją) „wlać środki piorące z naczynia A“. Z trwogą zaglądałem przez szybki do środka. Kotłuje się i pienia jak Niagara podczas burzy. Przecież radła, poszwy i poszewki sponiewierane, stłamszone kręcąc się jak opętane. Naprzeciw każdej pralnicy ustawione estetyczne niebieskie krzeselka. Obok gazety do czytania. Ale jak można czytać, gdy przed oczyma za szklaną szybą szaleje żywioł! Większość osób, tak samo jak i my, siedzi przerażona śledząc pranie bielizny.

Co chwilę ktoś z obłądnym wzrokiem, pełen najwyższego niepokoju biegnie do instruktorki... — „proszę pani, proszę pani, moja pralka się nie kręci“ albo „moja pralka kręci się w inną stronę!“.

Instruktorka ze spokojem wyjaśnia. „Teraz nastąpiło

odwirowanie... za chwilę napuścimy jeszcze raz wodę... niech się pani nie lęka... wszystko jest w porządku!“.

Latwo jej mówić. Dla niej to chleb powszedni, a poza tym w tej piekielnej maszynie nie ma jej bielizny.

Waciek z tryumfującą miną pokazuje mi odpowiedni punkt w instrukcji. „Od chwili zapalenia światła do końca prania białej bielizny wszystkie czynności wykonywane są przez maszynę automatycznie“. Wszystkie oprócz krochmalenia i farbowania, które nas czeka. Musimy jeszcze ustawić wyłącznik z lewej strony pralnicy w pozycję „wyłączone“, a gałką programową obracać zgodnie z ruchem wskazówek zegara po całym obwodzie do miejsca ostatniego płukania. Następnie postawić wyłącznik w pozycję „Włączone“ i „wlać środki piorące D“.

To już za wiele, jak na naszą inteligencję. Zalamani doszczętnie idziemy po pomoc do instruktorki. Od niej dowiadujemy się, że nasza bielizna musi przebywać w pralni jeszcze przez godzinę i że ona gotowa nam pomóc w dalszym praniu.

Radość nasza wzmożła się jeszcze bardziej, gdy instruktorka (oby żyła sto lat)

wszel bieliznę, która tymczasem spoczywała zmęczona i wyprana w wiaderkach.

W wirówce należy bieliznę układać kółkiem gdyż inaczej podczas wirowania siła odśrodkowa może splatać zupełnie nieprzyjemne figle. Gdy coś jest źle ułożone, wirówka dostaje konwulsyjnych drgawek, podskakuje, miota się i warczy jak nieprzyjemnie wygłodniały hipopotam.

Naturalnie mieliśmy poważne trudności z wirowaniem i gdyby nie pomoc instruktorki (niech żyje dalsze 100 lat i niech jeszcze w tym roku dostanie podwyżkę) bielizna nasza nie byłaby odwodniona. Po dziesięciu minutach wirowania, mogliśmy realizować dalsze dwa punkty instrukcji czyli „roztrząpać bieliznę“ i w wyznaczonej przez instruktorkę suszarce zacząć ją suszyć.

Otrzymał mi suszarkę obok mężczyzny, • którym chciałbym opowiedzieć. Twarz miał okrągłą, trochę przypominającą mi znajomego rzeźnika. Włosy i wąsy upodabniały go do fryzjera. Natomiast zachowaniem swoim zdradzał cechy panoflaryza w najwyższym gatunku. Przyszedł do pralni wraz ze swoją żoną, na której widok od razu człowiek zaczynał się bać. Przynieśli w sumie z czterech walizki brudów. Czego tam nie było. Od koszul męża, dyskretnych części garderoby kobiecej, gustownych kaftaników i haleczek do skarpetek dziecińczych i chusteczek. Wszystko to pomieszaną krećło się z niewiarygodną wprost prędkością w suszarce. Ona tylko czasami rzuciła mężowi krótkie a treściwe polecenia. „zrób to i to... przynieś tamto... uważaj co robisz... itd.“

Waciek, jak zwykle rozmowny, próbował zagadnąć naszą sąsiadkę — „Dużo prania pani przyniosła“ — rozpoczął odkrywczo.

...A co, może miałam

korzystała moment i podczas, gdy Waciu mocował się z wysuszoną bielizną, rozkładając ją na specjalnym stole (w myśl instrukcji) i segregując na bieliznę fasonową — czyli prozaicznie mówiąc osobistą i bieliznę płaską — to znaczy koperty, prześcieradła, poszwy itp. — brunetka zajęła nam miejsce przy mechanicznym maglu, zwanym tu o wiele stateczniej muldą elektryczną.

Mulda — jak wyczytał Waciu w 9 punkcie instrukcji — prasuje bieliznę. Ale jak sama nazwa wskazuje, bielizna po takim wyprasowaniu jest wymuldowna, czyli mówiąc językiem geologów — teren jest z lekka pofalowany.

W salonie pralniczym są tylko trzy muldy elektryczne, a więc praktycznie prasować mogą tylko trzy osoby. Stąd panuje tu tłok i każdy stara się wkroczyć przed drugiego. Czyha na dogodną okazję, nawet kosztem niewysuszonej bielizny, aby w odpowiednim momencie, jak kolarz przed finiszem, wyskoczyć i zająć miejsce przy upragnionej muldzie. Ale myśmy o tej strategii jeszcze nie wiedzieli, więc stoimy teraz bezczynnie obserwując współpracujących.

Mężczyzna z wasikiem wykonuje ostatnie polecenia swej małżonki.

Do otwartych waliz wrzucił, bezładu i składu — poskładaną bieliznę. Pani, po skończonej mozolnej pracy poprawia sobie makijaż i przez ramię krzyczy do męża... „Zabeiu, a teraz idź no po taksówkę...!“.

Przy muldzie, na której chcieliśmy się dostać pracują dwie kobiety. Starsza już, siwa pani i młoda dziewczyna — zapewne jej córka. Takie sobie niewydarzone cieli. Matka co chwila jej tłumaczy, pokazuje jak trzeba prasować, a córka wciąż robi źle. Mulda zgrzyta, deska, na której rozkłada się bieliznę spada z hukiem na ziemię. Wystraszona instruktorka podbiega, zatrzymuje maszynę, coś objaśnia, ale wszystko na nic. Za minutę to samo. „Jak tak dalej pójdzie, zanim skończy prasowanie rozwali całą maszynę“ — mówię Waciowi i na wszelki wypadek, proszę aby zajął strategiczne miejsce w zdobywaniu sąsiedniej muldy. Okazało się to zupełnie niepotrzebne, gdyż matka zdenerwowana nieporadnością córki zawinęła resztę bielizny i powiedziała jej, że jeśli jest taka gapa, to niech to wszystko w domu wyprasuje żelazkiem. Współczułem dziewczynie. Trudno. Sama sobie winna...

Tak to staneliśmy przed muldą i przed nie lada problemem. Który z nas będzie prasował? Bo tu już maszyna sama nie działa. Waciu nie bez determinacji oświadczył, że on weźmie ten bohaterski czyn na siebie, jako że w szczenięcych latach, chodził z mamą do magla i jest z tym, jeśli nie obyty, to przynajmniej przyzwyczajony.

Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że mulda podobna jest do magla. Podstawowa różnica polega na tym, że przy muldzie elektrycznej się nie płośnie. Tutaj każdy jest skupiony, nerwy napięte, oczy z uwagą śledzą palce, które bardzo łatwo włożyć z ręcznikiem czy inną skarpetką między kręcące się wały. Waciu, który oprócz wielu wad ma jeszcze w dodatku zacięcie matematyczne, po pięciu minutach pracy wygłosił mi definicję... „Zapamiętaj sobie, że w muldzie elektrycznej — współczynnik trudności jest wprost proporcjonalny do wielkości danej sztuki“. Czyli inaczej mówiąc prasować poszwy czy koperty jest o wiele trudniej, niż chusteczki do nosa. Zrobiwszy to epokowe odkrycie zabrał się z powrotem do pracy. Ja zaś zapaliłem papierosa. Okazało się, że zwiłgotniał w kieszeni. Dopiero ten brutalny incydent zwrócił moją uwagę na wentylację, która była raczej niedostateczna. Jeszcze kilka spostrzeżeń, tym razem pozytywnych i

się w domu z tym męczyć... tak to raz, raz i już po wszystkim...“ — odpowiedział i kazała mężowi roztrząpać maleńkie chusteczki i jeszcze mniejsze skarpetki, zapewne syna lub córki.

Obok dwie eleganckie panie rozmawiały na aktualne tematy. „...i niech pani sobie wyobrazi... przyniosłam amerykańskie mydło, wlałam do środka i to nawet nie pomogło... w ogóle nie chciało puścić...“.

— „Może za krótko pani trzymała w pralni... Wie pani ta trzecia od prawej najlepiej pierze... tak mi mówiła koleżanka, która tu stała przychodzi“.

Interesujący dialog przerwał złowrogi warok wirówki.

— „Zle pani ułożyła bieliznę... trzeba układać kółkiem... pani rozumie siła odśrodkowa“ — powiedziałem tonem wytrawnego znawcy.

— „To może mi pan pomóż...“ — zaproponowała ta co wlała amerykańskie mydło, a brud mimo tego nie puścił.

Trudno było odmówić. I w ten sposób przegapiłem swoją kolejkę, do muldy elektrycznej. Sprytna brunetka z grzywką natychmiast wy-

JAN HUSZCZA

PRZELOTNIE WIDZIANEJ

W śródmieściu, w gwałnym upale szła, kołysząc się niedbale, a tak, jakby była pustka: tylko lok jej, oczy, chustka!

Masz że, kobieto, sumienie? Jakże można być tak piękną? Piersi, niezwykle zdarzenie! Nogi? Może gibkie pręty? Gdyby w lesie, las by klęknął rzeźki rankiem, wypoczęty.

Leć tu głośniki, nie ptaki, nagrzone płyty chodnika. Zwyczajnie oczom umykasz... Piękna, gdzie los twój i jaki?

OBRACHUNEK

Żalowała nas wiosna, śpiesznie zrzucając lodową przyłbicę.

Żalowało nas lato, gdy wiatr cesał łagodnie mietlicę.

Żalowała nas jesień, gdy ciepło stygła wieczorna luna.

Żalowała nas zima, gdy drzewa w odwilży szły ku nam.

I tylko my sami nie umieliśmy siebie żalować.

FRASZKA

W jej ręku śnieg nie topnieje.

Wiesz, że pochlebstw nie znosi, więc zdobądź się na rozsądną obojętność. (Przy zachowaniu całego szacunku!)

Wszystkimi drogami, od dróg początku do Niej zdążający — nie pamiętaj o Niej, a może nienajgorszą dla ciebie wybierz sekundę...

Ona, przesądająca wszystkie ewentualności.

Ona, okrutna laśka.

Ona, żrenica przerażenia.

Ona, czwarty i następne wymiary.

Wypij z nią na ty, choćby to miał być twój ostatni w życiu kieliszek.

Amen!

Krynica, 7. I. 62.

rozmyślenia moje przerwał Waciek, który składając ostatnie prześcieradło z filozoficzną zadumą stwierdził, że „wszystko ma swój koniec“. Chcąc wyrównać wkład pracy w to wspólne pranie, zaproponowałem, że pobiegę po taksówkę. Nie musiałem długo szukać. Za rogiem stał długi rząd aut z zapalonymi „chorągiewkami“.

Gdy już znaleźliśmy się w „Warszawie“, Waciek stwierdził, że jednak ta „Ewunia“ to wspaniała rzecz. Jak oszczędza siły, jak skracca czas pracy! Żeby jeszcze poznać lepiej technikę, to byłby wprost idealny, takich salonów powinno być więcej... Zaczęliśmy wychwalać „Ewunię“ pod niebiosa. Szofer, który nas

wiół podejrzliwie spoglądał na nas i na nasze walizki. Z początku jakby z rezerwą, potem coraz baczniej przysłuchiwał się okrzykom, które wznosiliśmy na cześć „Ewunii“. Kiedy jednak wspólnie z Waciem doszliśmy do wniosku, że tak czy owak, była to wspaniała zabawa i że bardzo radzi wracamy do domu, nie wytrzymał i spytał się... „To panowie z czasów wracają?“.

Nie zaprzeczaliśmy. No bo jak można było przynależać, że wracaliśmy z pral-

ZBIGNIEW WOJCIECHOWSKI

odpłosz

str 5

Korespondencja własna „ODGŁOSÓW“ Z LOZANNY

KRYSTYNA
KONDRA TIUK

Polska W Szwajcarii

Pół roku temu Ministerstwo Kultury i Sztuki powierzyło Łódzkiemu Muzeum Historii Włókiennictwa organizację Działu Polskiego na I Międzynarodowym Biennale Tkaniny Współczesnej w Szwajcarii. Od tego momentu życie w Muzeum potoczyło się pod znakiem tej premierowej imprezy. Przygotowania do niej, zapraszanie, wybór autorów i projektów, pomoc przy ich realizacji, sprowadzanie i wysyłka eksponatów, drukowanie ilustrowanego informatora wydane go w języku francuskim oraz artykuły i liczna korespondencja w tymże języku pisaną absorbowały bez reszty wszystkich prawie pracowników Muzeum. Bądź co bądź miało to być impreza zorganizowana z inicjatywy niedawno powstałego Międzynarodowego Centrum Starej i Nowej Tkaniny — CITAM (Le Centre International de la Tapisserie Ancienne et Moderne), którego członkami

są twórcy tak wybitni, jak Jean Lurcat (prezydent CITAM), Jean Cassou, Germain Bazin. Udział w niej zgłosiło 17 państw Europy, Azji i Ameryki, choć wystawiane być mogły jedynie ściennie monumentalne gobeliny współczesne o powierzchni minimum 12 m².

Polscy plastycy przygotowali specjalnie na tę wystawę 7 olbrzymich nowoczesnie potraktowanych gobelinów i z niecierpliwością oczekiwali na wrażenie, jakie sprawią one zagranicą.

Z drżeniem serc wjeżdżaliśmy do Lozanny, pięknej i cichej zazwyczaj, ale teraz niezwykle ożywionej. Na rogatkach miasta witają automobilistów zdala widoczne napisy „I-le Biennale Internationale de la Tapisserie”, na ulicach głośniejsze plakaty, nawet kwiatnik na skwerze przed Hotel de la Paix w samym centrum miasta jest żywą

reklamą wystawy: odtwarza znakomicie jeden z gobelinów. W biurze Towarzystwa Przyjaciół Lozanny, w agencjach podróży, na stacji i w hotelach — wszędzie ulotki o Biennale, a radio i prasa zapowiadają go codziennie. I już wkrótce okazuje się, że ta wielka międzynarodowa impreza, która trwać będzie 3 miesiące, śledzą do Lozanny liczne rzesze turystów zagranicznych wraz z ich dewizami. Zaludniają się hotele, restauracje i kawiarnie, ożywają ulice i sklepy. Patrząc na ten wielki ruch, myślałam: a gdyby tak u nas spróbować?

Otwarcie Biennale poprzedziła wielka konferencja prasowa z udziałem ponad stu dziennikarzy z całego świata. Polskę reprezentowały na niej prócz komisarza trzy artystki — plastyczki: Magdalena Abakanowicz, Ada Kierzkowska i Jolanta Owidzka. Udział w wywiadach, kilkakrotnie uczestniczyły w audycjach radia i telewizji, a przede wszystkim w dyskusjach na temat starego i nowego w sztuce tkackiej, towarzyszących nieustannie wszystkim cotailom i spotkaniom, jakie dla artystów i organizatorów Biennale urządzano. Przekonały też bez trudu znanego i sympatycznego artystę francuskiego, że nie są, jak twierdził poprzednio, tylko pięknymi Polkami, przywiezionymi dla propagandy.

Na uroczystość otwarcia Biennale, 15 czerwca, przybyło wiele oficjalnych gości, artystów, intelektualis-

tów z całego świata oraz przedstawiciele korpusu dyplomatycznego, a wśród nich ambasador Polski Józef Koszutski, który wraz z Ministrem Kultury i Sztuki Tadeuszem Galińskim wchodzi w skład Honorowego Komitetu Biennale. W przemówieniach inauguracyjnych podkreślano równość i braterstwo wszystkich artystów świata, bez względu na ich pochodzenie i przekonania. Następnie — już w salach wystawowych — wznieśliśmy toast tradycyjny (nie jedną lampką wina za pomysłowość Biennale, gości i gospodarzy i za należyte ocenianie roli tkaniny artystycznej w sztuce i jej znaczenia w życiu. Dopiero wtedy rozpoczęło się oglądanie i ocenianie eksponatów i ekspozycji.

Ekspozycję rozwiązała musiano w sposób najprostszy, wykorzystując do zawieszania gobelinów wszystkie większe płaszczyzny ścienne i duże ekrany. Z dwóch stron wejścia wiszą dwa gobeliny: z lewej — szwajcarski, z prawej — „Drzewa i słońce” Anny Sledziowskiej. Pierwszy za nim „gobelin z runem” Marii Łaskiewicz, dalej gobeliny kanadyjskie, norweskie, szwedzkie, niemieckie, sala Francuzów (wśród nich słynni Lurcat, Adam, Prasnos, Tourliere i wspaniały Szwajcar Le Corbusier), następnie gobeliny amerykańskie i znowu polskie: „Oświećmy” Wojciecha Sadleja, „Kompozycja form białych” Magdaleny Abakanowicz, „Cisza” Jolanty Owidzkiej, „Muzyka” Ady

Kierzkowskiej i „Uliczka” Krystyny Wojłyny-Dronet. Potem Holendrzy, Belgia, Portugalia, Węgry, Czesi, Anglia, Austria, Włochy i zwracający uwagę złoty gobelin Japończyka, Murata. Jest jeszcze jeden — ósmy gobelin w stylu i kompozycji bezwzględnie polski, choć reprezentujący Kanadę, Krystyny Sadowskiej, urodzonej, jak podaje katalog, w Warszawie.

Przed gobelinami polskimi Hok i ożywione dyskusje. Wraz z ambasadorem Koszutskim obserwujemy wyraz twarzy zwiedzających i naszą początkową trema ustępuje miejsca radości. Chwyciło!

Co chwila ktoś się przedstawia, gratuluje, padają wielkie nazwiska. Nasze gobeliny zdumiewają zagranicznych artystów swym rozmachem, nowoczesnością, efektami faktur, wyzywającymi ze zróżnicowania tworzywa. Jakże są odmienne od typowych, gładkich, wycałanych gobelinów europejskich. „No cóż, Polacy, to naród rewolucjonistów” — mówi pan Lurcat.

„Polacy zrewolucjonizowali gobelin i to jest największy sens I Biennale” — twierdzą inni artyści. A jakaś Francuzka podchodzi do naszej grupy i oznajmia, że posła swego jedynaka do warszawskiej Akademii Sztuk na naukę prawdziwego piękna.

Wernisaż przeciąga się, tłumy nie rzędną, dyskusje podsycają winem są coraz płomienniejsze. A w wielkich reprezentacyjnych salach Musee de Beaux Arts

ośniewa feerią barw 58 wspaniałych, monumentalnych gobelinów.

Późnym wieczorem w Hotel Palace Lozanne władze kantonu i syndyk miasta podejmują bankietem przedstawicieli 17 narodów. Jest to jeszcze jedna okazja do poznania wielu świetnych artystów, teoretyków i intelektualistów, do wymiany doświadczeń, spostrzeżeń i poglądów.

A rano w hotelu, kwiaty i bilety: „Polskie panie artystki! Za przyjaźń, za wasze piękne tkaniny, za nasze, być może choć jedno spotkanie w Polsce!” — pisze znana szwajcarska plastykka Denis Voita.

„Szczyt I Biennale, to Polska” lub „Od stylu francuskiego do piękna polskiego” i wiele podobnie pochlebnych tytułów ukazuje się w prasie szwajcarskiej, francuskiej i niemieckiej. Recenzji jest dużo, bardzo dużo, nie wszystkie są tak przychylne, lecz ciągle wspominają o Polsce i rozgłos wokół naszej ekspozycji, najlepiej świadczy o jej sukcesie. Tylko w krajowej prasie nie znajdziemy jego odbicia.

Biennale trwa — trwać będzie do 17 września. Następnie zorganizowane zostanie w roku 1984 (co dwa lata) już we własnym wspólnym wznoszonym obecnie gmachu CITAM, obok którego budoje się równocześnie hotel dla artystów, dziennikarzy i organizatorów z zagranicy. I już się zaprasza i już się o tym następnym Biennale pisze w prasie, dużo pisze.

MARIAN PIECHAL

Notatki z podróży

SŁONECZNY

Od czego ta ładna nazwa? Bo Siedmiogród to nie znaczy kraj siedmiu tylko grodów — jest ich tu więcej, niż siedemdziesiąt siedem, licząc jedynie te, które zbudowali przed podbojem Rzymian na wpół legendarni Dakowie. Ich ostatni król, Decebal, który poległ w walce z Trajanem, leży według podania pod ruinami zamku w Dewa nad główną rzeką Siedmiogrodu Maruszą. Baśniowa poetyckość tej nazwy zdecydowała prawdopodobnie o jej przetrwaniu z zamierzchłych czasów, kiedy to mówiło się o tej części dzisiejszej Rumunii, że to kraj „za siedmioma górami”, a nad każdą rzeką gród warowny, broniący do jego wnętrza dostępu, a więc Siedmiogród. Rzeczywiście główne miasta Siedmiogrodu, sięgające swymi początkami czasów przedhistorycznych, jak Alba Julia, Kluż, Sybin, Tigrum Muresz lub Mediasz, leżą nad rzekami w bezpośrednim sąsiedztwie gór.

Te góry czynią z Siedmiogrodu prawdziwie naturalną wewnętrzną fortecę Rumunii. Jest to właściwa starożytna Dacia, najdłuższej opierająca się podbojom impe-

ratorów rzymskich i najwięcej sprawiająca im kłopotów przez swoje zaciekłe i ustawiczne bunty. Jeśli Rumunów uważać za najbardziej bezpośrednich potomków dawnych Daków, to Siedmiogród należy uznać za serce Rumunii mimo, że jest to dzielnica kraju o najmniejszym ich procencie. Bowiernie poważną część jej mieszkańców stanowią Węgrzy, mający nawet tutaj swój dość rozległy obwód autonomiczny, gdzie stanowią bezwzględną większość (77% ogółu ludności) i którego stolicą jest stotisieczna Tigrum-Muresz nad górą Maruszą. Po Węgrach największą sporykowaną nacją są tutaj Niemcy. Ale jedni i drudzy podobnie jak Rumuni uważają się za autochtonów. Poza nimi spotyka się jeszcze na południowym zachodzie Bułgarów i Serbów, a na północnym wschodzie Rusinów i Tatarów, a w ogóle w całym Siedmiogrodzie dość gęsto wszędzie kościółnych i osiadłych Cyganów.

I Polakom nie jest objętny Siedmiogród, wszedł na trwałe do naszej historiografii, do powieści i do poezji. Przede wszystkim jako kolebka sławnego naszego króla, Stefana Batory, a następnie teren bohaterskiej akcji bojowej nie mniej sławnego generała Bema pod miastem Braszów, w okresie Wiosny Ludów.

W tej mieszaninie językowej ludów siedmiogrodzkiej niełatwo się rozróżnić. Oczywiście, urzędowym językiem, który znają prawie wszyscy, jest rumuński. Ale nie zawsze jest właśnie urzędowym językiem można trafić do serca przyrodzonego mieszkańca Siedmiogrodu. Stop etniczny nie został jeszcze dokonany i proces integracji zależny jest w znacznej mierze od tempa socjalizacji zarówno podziału ekonomicznego jak i stosunków społecznych, tej niezwykle ciekawej krajiny. Jednak znaczny udział Węgrów i Niemców w jej dziejach, zwłaszcza średniowiecznych i nowoczesnych, spowodował, że kultura zachodnio-europejska stała się tutaj czynnikiem dominującym. Przypomnijmy sobie, że rodowity Siedmiogrodzianin, jakim był nasz Stefan Batory, mówił po łacinie, niczym urodzony Rzymianin i tym między innymi zjednał sobie serca renesansowych Sarmatów, którzy jak wiadomo niegorzej krasili swoją niewyrobioną jeszcze polszczyznę wzorową ku podziwowi ościennych narodów łacińskich. Z tego też względu dzisiejszy Siedmiogród jest jak gdyby Piemontem kulturalnym współczesnej Rumunii. Najcenniejsze zabytki architektury gotyckiej i renesansowej, zbiory piśmiennictwa zachodniego i najczystsze okazy kultury ludowej znajdują się właśnie w natural-

nej fortecy obronnej, a zarazem naturalnym muzeum etnicznym, jakim jest Siedmiogród.

Otoczony szczerlnie z trzech stron (od północy, wschodu i południa) zwarzonymi górami, jedynie od zachodu (aczkolwiek też zamknięty górami) mający dwie wlotowe bramy: dolinę rzeki Maruszy między Karpatami Południowymi, a Górami Bihorskimi i dolinę rzeki Samoszu między Górami Bihorskimi, a Karpatami Północno - Wschodnimi. Te naturalne bramy, otwarte na zachód, zdecydowały o wpływach kultury zachodnio-europejskiej w Siedmiogrodzie. Pierwsze jej odłaski nieśli na swych krótkich ostrzach, mieczy rzymscy ujarzmiciele tej ziemi, po nich dopiero kupcy zachodni, ko kupcach mnisi rozmaitych zakonów ze znanymi i nam Krzyżakami na czele, a potem dopiero Węgrzy oraz miejscy i więcej osadnicy niemieccy.

Rumuni między sobą i na użytek zewnętrzny nazywają ten kraj Transylwania. Ze niby najwyższą jego południową ścianę górska stanowi Alpy Transylwańskie czyli po prostu Karpaty Południowe, nazwane tak od gęsto ich stoki porastających lasów. Była to dodatkowa zaporą od południa w drodze do wnętrza Siedmiogrodu. Ale Karpaty Połu-

niowe łączą się bezpośrednio z Karpatami Wschodnimi, ciągnącymi się na północy łukiem ku zachodowi i równie porośniętymi czernią gestych lasów — tak, że razem tworzą kształt podkowy skalno-leśnej nie do przebycia od południa, wschodu i północy. Jeżeli ponadto uwzględnimy od zachodu owe Góry Bihorskie również porośnięte zwarele gestym lasem z jedynymi bramami na północy w dolinie rzeki Samoszu i na południu w dolinie rzeki Maruszy — musimy uznać, że nazwa Transylwania dla Siedmiogrodu jest w pełni usprawiedliwiona.

A co jest wewnątrz tej tak wyjątkowo obwarowanej przez naturę krajiny? Też góry, tylko, że o wiele mniej wysokie i o wiele mniej zwarte, i o wiele mniej zalesione, stanowiące właściwie wielką wyżynę łagodnych i falistych wzgórz łakowo-leśnych, poprzeczanych nieraz szerokimi dolinami rzek, spływających przeważnie ze stoków Karpat północno-wschodnich, na nich bowiem tracą obficie swoje deszcze chmury niesione wiatrami znaną Morza Czarnego. W tych żyznych dolinach rzecznych rozwinęło się bujne rolnictwo siedmiogrodzkie podobnie jak na tych pagórkach ogrodnicztwa i hodowla winnej latorośli, jako, że nasłonecznie-

nie tych pagórów i tych dolin rzecznych jest tutaj nieporównanie intensywniejsze, niż gdziekolwiek indziej.

Ale czy tylko dla jego słonecznej urody, żyznych dolin i płodnych pagórków starożytny Trajan z takim trudem zdobywał tę krainę? Nie tylko! Prócz złotych łąk pszenicy w dolinach rzek, prócz złotych winnic na stokach łagodnych wzgórz, ta ziemia zawierała w sobie także samo złoto. Zwłaszcza Góry Bihorskie w swych najbardziej odludnych pustaciach kryły najstarsze znane w starożytności kopalnie złota. I najobfitsze. A poza nim srebro i żelazo, a nawet miedź. A więc owe kopalnie, a przede wszystkim owe złoto — złoto! — znęcało tutaj starożytnych Rzymian, a Trajanowi nakazało podbić ten kraj i utrzymać w jarzmie kosztem niezwykłego nakładu ofiar, gdyż pradawni posiedzieli tej krajiny, Dakowie, bronili w niej nie tyle złota, co przede wszystkim własnego prawa do życia i niepodległości. Ta naturalna twierdza skalno-leśna, ta prawdziwa Transylwania, kryła w sobie nieprzebrany skarbiec drogiego kruszcu, który jest podstawą potęgi każdego zaborczego imperium od początku dziejów ludzkich do dziś.

My, Polacy, jak wiadomo,

Dalszy ciąg ze str. 1

Ale reporter wierzy. Wierzy i notuje. Teraz działacz przechodzi do historii tenisa polskiego. Podobno w czasie rozruchów przeciw inowiercom w Krakowie w 1591 roku, kiedy burmistrz wysłał do króla na zamek posłańca z wieścią o rozlewie krwi — król Zygmunt III „nie dał osobliwego posłuchania posłowi... bo właśnie grał w piłkę... lecz tylko poprzestał na wysłaniu na miejsce wypadku Stanisława Radziwiła, marszałka litewskiego z kilkunastoma żołnierzami”. Tak więc tenis wywierał nawet wpływ na historię naszego kraju... no bo zawsze można powiedzieć, kto wie co by się stało gdyby Zygmunt III pojechał na miejsce rebelii... Może byśmy mieli wcześniej nowego króla?

Reporter chce wiedzieć wszystko. Działacz chce mu wszystko opowiedzieć. Więc reporter zadaje mu coraz to nieprawdopodobniejsze pytania. Tenis w literaturze?...

Proszę bardzo... W powieści Kraszewskiego pod tytułem „Królowa Marysienka” można wyczytać, że w 1648 roku Jakób Sobieski wyprawiał swoich synów dla dopełnienia edukacji za granicę, zaleca 16-letniemu podówczas Janowi (późniejszemu królowi Polski) i jego bratu Markowi, aby z ćwiczeń fizycznych nie zaniedbywali gry w piłkę, „która oko i myśl przyzwyczajają do szybkiej pracy...”

Tak więc tenis od dawnych czasów... był sportem królewskim — stwierdza z satysfakcją działacz. I na dowód tego przytacza takie sławy królewskie i tenisowe jak król Francji Henryk V i Karol IX, a w Anglii Henryk VII, który wybudował nawet Hampton Court Palace do dziś jeszcze istniejący. Ze współczesnie miłośnicy panujący, wymienić należy króla szwedzkiego Gustawa V i japońskiego następcę tronu księcia Ahihito i jego małżonkę Michiko, którzy w grze mieszanej stanowią niezwykle zgrana parę i w turniejach organizowanych na kortach Tokyo Lawn Tennis Club odnieśli niejedną sukces.

Prawde mówiąc, reporter z dużą rezerwą odnosił się do wszystkich informacji o sukcesach sportowych wszel-

kich dostojników łącznie z królami. Bowiem niedawno rozmawiając z naszym mistrzem Władysławem Skoneckim, który miał zaszczyt grywać z królem Gustawem, dowiedział się, że król Gustaw zawsze wygrywał. Nawet z najlepszymi tenisistami świata, którym na otarcie lez ofiarowywał dość znaczne podarki. Kto jednak, był na tyle nietaktowny i pokonał jego królewską wysokość nie otrzymywał niczego... No bo i za co?... Prawda?

Reporter dochodzi do wniosku, że jego edukacja powinna być zakończona, że zbyt wielki zakres wiadomości o tenisie może zmniejszyć dystans jaki stara się zachować do tego wszystkiego co dzieje się na kortach. Zwłaszcza, że jak na złość do stolika dosiadł się drugi działacz, który dowiedziawszy się, że rozpatrujemy historię tenisa, uważał za swój obowiązek podać materiały, nie bardzo zgadzające się z wiadomościami swego kolegi. Według niego pierwsze wiadomości pochodzą nie z Grecji i Rzymu, ale z Cesarstwa Bizantyjskiego, gdzie córka cesarza Alexiusa Camena uprawiała tę grę z wielką namietnością i oddaniem. Jeśli chodzi o tenis europejski to drugi działacz też ma odrębne zdanie. Według niego pierwsze informacje zawarte są dopiero w dziele Donato Volutti pod tytułem „Cronica di Firenze”, gdzie autor wspomina o grze, „tenes”, którą do Florencji sprowadził rycerstwo francuskie, w 1325 roku. Słowo „tenes” pochodzi zaś od okrzyku wojennego „Trzymaj!” — „Bądź gotów”. Naturalnie różnica zdań doprowadziła obu działaczy do, jakbyśmy to określili — ożywionej dyskusji, w której już reporter nie brał udziału. Dane historyczne postanowił jeszcze sprawdzić u „pierwszej”, względnie „drugiej rakiety”... Tak nazywa się najlepszych zawodników. Pierwsza rakieta był co najmniej zdziwiony... „A daj mi pan święty spokój!... Ja gram to nie muszę wiedzieć nic o historii!... A poza tym tak się czuję „tyłowo”. — Reporter na razie nie nie zrozumiął i nie orientował się jak się mistrz czuje, ale to stwierdzenie naprowadziło go na pomyśl zbadania żargonu tenisistów. Dowiedział się że jak ktoś źle gra to czuje się „tyłowo” albo

„Do... tyłu”. Ze jak ktoś przegrywa, to się „moczy”, „nurza” albo „tonie”, wtedy już jest całkowita klęska i facet „popłynął”, czyli przegrał.

Poza tym, tenisisci uwielbiają zdrobnienia. Mówią do mężczyzny „Laluniu”, „Kiciuniu”, co im zupełnie nie przeszkadza na kortach podczas meczu przesłać (naturalnie po cichu), niezłe epitety pod adresem przeciwnika. Powiedziałem po cichu bo na głos, najczęstszymi zawołaniami mistrzów rakiet są... „o kurcze... albo o kurcze; — z dodatkami

GEMY, ROBRY i MISTRZOWIE

— blade... „O mamoi!” — to zazwyczaj kobiety i samokrytyczne zawołanie „Jak ja gram!”, „Co ja robię!”, „Dlaczego ja tak źle gram!”. Na to jeden z kibiców ze spokojem mu dopowiedział: „Dlaczego pan tak źle gra, to pana sprawa, ale dlaczego ja na to patrzę... tego zupełnie nie rozumiem”.

Śmieszny sytuacji na kortach jest bez liku. Specjalistą od nich był sympatyczny zawodnik warszawskiej Sparty, Maniewski. Podczas spotkania czterdzielnego z zawodnikiem Krakowa Faruzelem, krakowianin skarżył się, że Maniewski przy serwie (fonicznie) przekracza linię i w ten sposób za szybko jest przy siatce, co mu ułatwia grę. Maniewski natychmiast wytłumaczył się: „Ja nie przekraczam linii. Co ja zrobię panie sędzio, że jestem taki szybki...”



Foto: W. Kraska.

naturalnie — kupiona od mistrza, czyli „mistrzowska rama” kosztuje około 1000 złotych. Naciąg zaś około 400—500 złotych. W zależności od tego czy mistrz się bardziej czy mniej cen. Koszulki Freda Perrygo, sławnego kiedyś zawodnika, który założył wytwórnię koszułek sportowych kosztują od 180 do 300 zł. W zależności od tego kim jest kupujący „jeleniem” czy faceitem z głową.

Jeśli już reporter opowiada o tak prozaicznych sprawach, jak pieniądze, to pomówimy trochę o hazardzie. W tenisie wszystko jest możliwe, ze straconych pozycji zawodnicy potrafili przechrzlić szanse na własną korzyść. Nigdy nie wiadomo. Czasem jedna zepsuta piłka, wybija zawodnika z uderzenia, i używając języka tenisistów, zawodnik „płynię”. Można więc obstawiać. Na Nowickiego stówkę, drugi na Gasiorka. Kto nie ma stówki, ten obstawia mniej. Reporter z przerażeniem usłyszał dialog dwóch siedmiolatków, którzy jeszcze sepieniąc mówili do siebie. „Stawias na Smitównę... stawiam! ile? Dwadzieścia groszy...”

W domku klubowym, jest

bufet. Wprawdzie niezbyt obficie zaopatrzony, ale kawę, ciastka, serdelki i jajecznicę zawsze można dostać. Lecz obok tych wiktualów w bufecie można, za odpowiednią opłatą pożywić karty, na wypadek gdyby się komuś znudziło oglądanie spotkań tenisowych. Na górze, na tarasie ustawione są stoliki i tam właśnie konkurencję gemom i setom robią partie i robry. Niektórzy z widzów są w nie la da rozterce. Bowiem na korty przychodzą również najlepsi nasi brydżyści, z mistrzem Dunajskim na czele. Nie wiadomo co oglądać. Czy smecze Skoneckiego i Gasiorka czy impasy i szlem mistrza Dunajskiego. A mistrz Dunajski rzeczywiście robił furorę. Ze spokojem liczył nawołując od czasu do czasu swego partnera. „Kiciu, graj... tylko inteligentnie... kiciu”. Gdy brydż się znudził przerucano się na kielki. Tu stawka. (proszę nie mylić z określeniem sportowym, stawka tego meczu było mistrzostwo itd.) była wysoka. Przegrywający musiał czasem i pożywić gotówkę, gdyż kilkaset złotych nie wystarczało na zapłatę przegranej. Tak więc i przy stolikach brydżowo-kielkowych emocji nie brakowało.

SIEDMIOGRÓD

tradycyjnie już nie kochamy się w złocie, a jeśli w żelazie, to tylko jako w niezbędnym materiale na lemiezie w pługach. Dlatego też nigdy w ciągu całej naszej historii nie gościliśmy w Siedmiogrodzie jako najjeźdźcy chcieli złota. Pojawili się raz jeden jedyny na żywe równiny Moldawii i Multan, gdzie słało się wtedy i sieje się tak samo dziś pszenicę, proso i len, sadzi buraki cukrowe, kukurydzę, fasolę, rzepak, konopie oraz tytoń — a hoduje szczyty winne, co szlachetniejsze owoce i stada krów, owiec, świń oraz tabuny koni — koni nade wszystko! Owa nieszczęsną wyprawą wołoską za króla Olbrachta, na której omal, jak mówi przysłowie, nie wyginęła cała szlachta, była o tyle spóźnionym już i szkodliwym dla nas anachronizmem, że odbywała się w czasie, kiedy cały ówczesny świat w przeciwieństwie do nas przekurwał gorączkowo lemiesz na miecze, a podstawą swojej gospodarki czynił nie złote lany zboż, lecz kopalnie złota, srebra oraz innych metali lub bardziej drogocennych kruszców i naturalnych zasobów ziemi. Dlatego ta nasza wtedy wyprawa na Multan i chwilowe zholdowanie gospodara wołoskiego nie pozostawiło żadnego śladu w dzisiejszej Rumunii,

a Polacy cieszą się na ogół u obywateli tego barwnego kraju jako najlepszą opinią jako ziomkowie bohaterki-go Bema, a przed tym jeszcze Kościuszki, bardzo tu popularnego — a jeszcze przed tym króla Jana III-go, tryumfalnego pogromcy ich wielowiekowych ciemności, Turków, najtrwalszych i najokrutniejszych po bezwzględnych Rzymianach — dzierży cieli Siedmiogrodu.

Z tych względów Polakom miło zawsze wjeżdża się w granice Rumunii. A już w tym Siedmiogrodzie czują się jak u siebie w domu. Rzewne wiersze Kazimiera Illakowiczówny, która znalazła tutaj przyjazny schron i gościnny przytułek po nieszczęsnym naszym wrześniu w roku 1939, świadczą o tym jakże wymownie.

Dziś w granice Rumunii wjeżdżają Polacy zazwyczaj od strony Węgier i pierwszą prowincją tego kraju, która ich wita, to właśnie Siedmiogrod. Linia kolejowa do Bukaresztu i dalej do Konstancy, do miejsc wypoczynkowych nad Morzem Czarnym, prowadzi właśnie przez sam środek Siedmiogrodu. Są to najpiękniejsze partie tej niezwykłej krainy. Ledwie się minie granicę węgiersko-rumuńską już na horyzoncie od wschodu rysują się ciemnobłękitne wzniesienia ma-

sywu Gór Bihorskich. Zresztą sama nazwa pierwszej nadgranicznej miejscowości rumuńskiej, Episcopia Bihor, przypomina o zbliżaniu się do tych złotodajnych gór. Niebawem po krótkim postoju w Oradei (Oradii) pociąg wchodzi w wąską Kotlinę Vadu, która jest doliną rzeki o nazwie Crisul Rapede czyli po polsku Keresz Raptowny. Jest to jeden z trzech, obok bardziej na południe Czarnego i Białego, Kereszów, wypływających z Gór Bihorskich, a łączących się na terenie Węgier w jeden Keresz, leworęczny dopływ królowej słynnych pusz węgierskich Cisy. Im dalej w głąb wyżyn górskich, tym więcej tunelów, aż wreszcie pociąg wydostaje się na obszerną równinę z mgławicami wyniosłościami na południu. Przypomina się nasze Podhale, zwłaszcza, że i widoczną wkrótce nad rzeką Samoszem stolicą tego Siedmiogrodu, Cluj (Kluż) okazuje się jakaś swojska podobna do Piotrkowa czy Częstochowy, choć gra rolę w historii tego kraju raczej naszego Poznania lub Krakowa. Po Oradii pierwsze przeszło stoletnie miasto na tej trasie, pełne przede wszystkim w centrum wież kościelnych, a na okrajach czyli zapewne przedmieściach dymiących kominów fabrycznych: starodaw-

ność w opowieści nowoczesności. I choć innego podobieństwa wielkiego miasta już po ma w całym Siedmiogrodzie, to jednak wszystkie większe osiedla mają podobny układ: wieże kościelne w otoczeniu kominów. Charakterystyczny ten symbol nowej powojennej Rumunii. Ale od Kluży kolej skręca nagle na południe, okrążając z prawa Góry Bihorskie. Jesteśmy w sercu Wyżyny Siedmiogrodzkiej. Wśród szerokiej uprawnych pól rozległe osiedla i osady. Docieramy niebawem do największej rzeki tej Wyżyny, Maruszy, i prawym jej brzegiem, tuż nad bystrym nurtem, mijamy kilka miejscowości o starych nazwach i nowych domach. Kminy coraz częściej górują nad wieżami kościelnymi. W mieście Telusz przejeżdżamy nagle most na Maruszy, która kilkanaście kilometrów na zachód opływa najbardziej złotodajne stoki Gór Bihorskich, nazywanych tutaj Trascau (słowo przypominające francuskie trésor, a więc skarby). Jest tam nawet miejscowość Zlatna nad prawym dopływem Maruszy, której fale w starożytności wypływały złoto z płasków swego dna.

Ale nas, zgodnie z naszą polską tradycją, ciągnie nie na zachód ku złotu, lecz na wschód, gdzie po obu brzegach lewego dopływu Maruszy, Tyrnawy, w dolinie przeszło sto kilometrów dłużej i nazwanej dlatego Valea Lunga wznoszą się coraz częściej kminy i tylko kminy bez towarzyszą

kościelnych wież. To nowoczesne kombinaty przemysłowe zbudowane już po wojnie, bądź dopiero się budujące. Jeden z nich wznoszący swoje wieżowce tuż po obu stronach toru kolejowego nosi dumną nazwę, której nie zdołano jeszcze nanieść na żadną mapę: Campul Libertatii czyli Pole Wolności. Na stacjach kolejowych tej trasy nie spotykamy już, jak to się często zdarzało poprzednio, obdartych nie tylko starych i młodych Cyganek z nagimi dziećmi na jednym ręku i wyciągających ku oknom pociągu drugą rękę o wsparcie. Ten żenujący gest zaczął się powtarzać, niestety, w dalszych partiach podróży, kiedyśmy minęli Alutę, ostatnią wielką rzekę Siedmiogrodu, i zbliżyli do jego południowej granicy pod miastem Braszow, znów o przewadze tym razem kopulastych wież ciekiewnych u podnóża skalistej przełęczy między Alpami Transylwańskimi a Karpatami Wschodnimi. Nazywa się ona po rumuńsku Predeal (wymawia się: Predial), co przecież jest dosłownym przekładem polskiego wyrazu: przedział!

Za tym Przedziałem w dół skalistymi wąwozami ku południowi prowadzi droga od innego pola wolności rumuńskiej, które nigdy nie było polem niewoli: okręgu naftowego Ploeszt.

Ale pierwszym Polem Wolności w Rumunii, już zwycięskim, to stonieczny Siedmiogrod.

MARIAN PIECHAŁ

Reporter jeszcze nie opowiedział o publiczności. Podzielić można ją z grubsza na: rodziny, znajomych ludzi związanych z tenism, którzy oglądając spotkanie raz po raz cytują, że — „takim drop-szotem Gasiorek w czwartym gemie trzeciego seta w Sopocie w podobny sposób zdobył kolejne punkty”, i takich co się w ogóle na tym nie znają i ze zdziwieniem pytają sąsiadów, dlaczego w tenisie liczy się punkty 15, 30, 40. Nota bene nikt nie potrafi dać na to pytanie poprawnej odpowiedzi. No, tak się liczy i kościec. Dlatego... nikt się nie zastanawia.

Na kortach jak powiedziałem, są naturalnie piękne panie i piękne pieski. Reporter widział wspaniałego setera irlandzkiego, dwa czarne pudle, jednego czau-czau i jednego psa bliżej nieokreślonej rasy, który znalazł się na kortach nie jako ozdoba właścicieli, ale zupełnie przypadkowo. A jeśli chodzi o panie, to reporter dyskretnie zamknął, jako że wszystkie panie są piękne i winno się je obserwować tak, jak się obserwuje zawody tenisowe. Z tą niewielką różnicą, że zamiast obracać głowę w prawo lub w lewo należy obracać ją z góry do dołu i z dołu do góry.

SLAWOMIR KELLER

odgłosy

str.
7

MŁODZIENCZYMI SCIEŻKAMI wielkiego FRYDERYKA



Duszniński Zdrój! — Sala koncertowa z kawiarnią.

JERZY PILICHOWSKI

Obok domu z pamiątkową tablicą, gdzie mieszkał z matką i siostrami — przysiadł wille FWP, „Polonez”, „Mazurek”. Życiodajne źródła, które niegdyś lud nazywał „czarcimi”, wysłuchały dzięki rekomendacji medyków i pięknej obudowie. Ściągają one ludzi z całego kraju, ba nawet i Europy. Jednakże ci, którzy przybywają do Dusznik, przechadzają się po parku, ssąc przez igelitowe rurki „Agatę”, „Jana Kazimierza” czy „Pieniawę Chopina”, przypominają trochę dawny lud dawnych czasów, jak utwory Chopina przypominają swoje pierwowzory śpiewek i motywów ludowych. Dawniej nie było tu pięknego Parku Zdrojowego, górskich serpentyn, piśalni wód, muszli i sali koncertowej. Ale mimo tego tutaj było coś co jak magnes przyciąga młodych pianistów całej prawie Europy.

W Dusznikach młody Fryderyk dawał swoje pierwsze koncerty. Wywarły one a może raczej atmosferę Dusznik — poważny wpływ na jego twórczość. Tu po raz pierwszy zetknął się z szerzej pojętą publicznością. I ta tradycja została przez nas podtrzymana — uśmiecha się dyrektor Uzdrowiska dr. Witold Laniewski — Duszniki są trzecim w Polsce miejscem kultu F. Chopina: po Warszawie, gdzie spoczywa jego serce i Żelazowej Woli, gdzie zamieszkiwał z rodziną.

Tak się już przyjęło, że młodzi pianiści wielu krajów Europy, zanim wyruszą na podbój — ruszają w pielgrzymkę do tej „Mekki”. Chętnie przyjmują zaproszenia i koncertują w Dusznikach.

Określenie „Młodzi pianiści” jest nawet za skromne. Daleko więcej mówi „Księga Pamiątkowa” — uzdrowiska, gdzie można znaleźć takie nazwiska: Ringaisen — Francja, Ginsburg — ZSRR, Rauch — Czechosłowacja, Drzewiecki i Zmudziński — Polska no i przede wszystkim niezwykle utalentowana i koncertująca w wielu krajach Europy wiedeńska pianistka Leonora Suppan.

Większość wspomnianych i jeszcze innych młodych utalentowanych pianistów przyjeżdża rokrocznie na sierpniowe Festiwale Chopinowskie. Uzdrowisko bowiem przyjęło zaszczytny

obowiązek patronowania młodym talentom.

— W Europie — jak twierdzi p. E. Suppan — mówi się, że rozpoczęcie sezonu koncertowego od Dusznik przynosi szczęście. Tak zawsze mówią moi profesorowie i koledzy. I to jacy! Przeczytajcie fragment prospektu o p. Suppan a urośnie i Wam serce.

„Leonora Suppan geboren am 2. Dezember 1935 in Wien, Ihr. grosses Talent zeigte sich schon in den frühesten Kinderjahren, doch musste ihre musikalische Ausbildung während der letzten Kriegsjahre und der Nachkriegszeit unterbrochen werden. Nach ihrer Rückkehr nach Wien studierte sie an der dortigen Akademie für Musik als Schülerin von Walter Kerschbaumer und WLADYSŁAW KEDRA. Unter ihren Lehrern stoßen wir auf weitere berühmte Namen, woe z. B. auf den Warschauer Paedagogen Zbigniew Drzewiecki, der sie fuer den internationalen Klavierwettbewerb Fr. Chopin vorbereitete der 1960 in Warschau stattfand. An diesen. Konkurs nahm sie als einzige Oesterreicherin teil“.

A nie powiedziałem!

„ŚWIĘTA WOJNA”

Poza parkiem, kultem Chopina, łagodnym — aż dusznym od zapachu leśnych ziół i żywicy klimatem — mają Duszniki także swoje sprawy nie mniej „duszące”.

Od lat np. władze miasteczka prowadzą „wojnę” z władzami Uzdrowiska, która — jeśli chodzi o metody przypomina niekiedy historyczne wojny między miastami a uniwersytetami. Celem jej jest przechwytywanie wszystkich możliwych inwestycji dla oddalonego od Dusznik-Zdroju o 2 kilometry miasteczka Duszniki.

W wyniku tej wojny w Dusznikach Zdroju, „obłożonych” przez okragły rok ponad 1 tysiącem kuracjuszy i wczasowiczów, nie ma ani jednej restauracji. (Parotysięczne miasteczko ma dwie). Budowę restauracji, nastawionej na masowego konsumenta, planuje się już w Zdroju od kilku lat. Tymczasem Duszniki są w stanie, łącznie z pokojami prywatnymi, pomieścić znacznie więcej wczasowiczów. „Wąskim gardłem” jest jednak wyżywienie, a ściślej mówiąc obiady, których nie ma gdzie jadać. Posiadające często możliwości przygotowywania wyżywienia dla większej liczby osób Domy FWP prowadzi — jak mi wyjaśnił jeden z ich kierowników —

„politykę odstraszenia” wobec tych, mieszkających w prywatnych pokojach, inkasując po 20 zł za 1 obiad typu stołowego (7—8 zł). Zaś za całodienne wyżywienie pobierają — 35 zł (przy kalkulacji od 19—20,5 złotych na 1 wczasowicza). Ten czysty „zarobek” traktują jeszcze jako wielką łaskę, wyświadczoną tym spoza FWP.

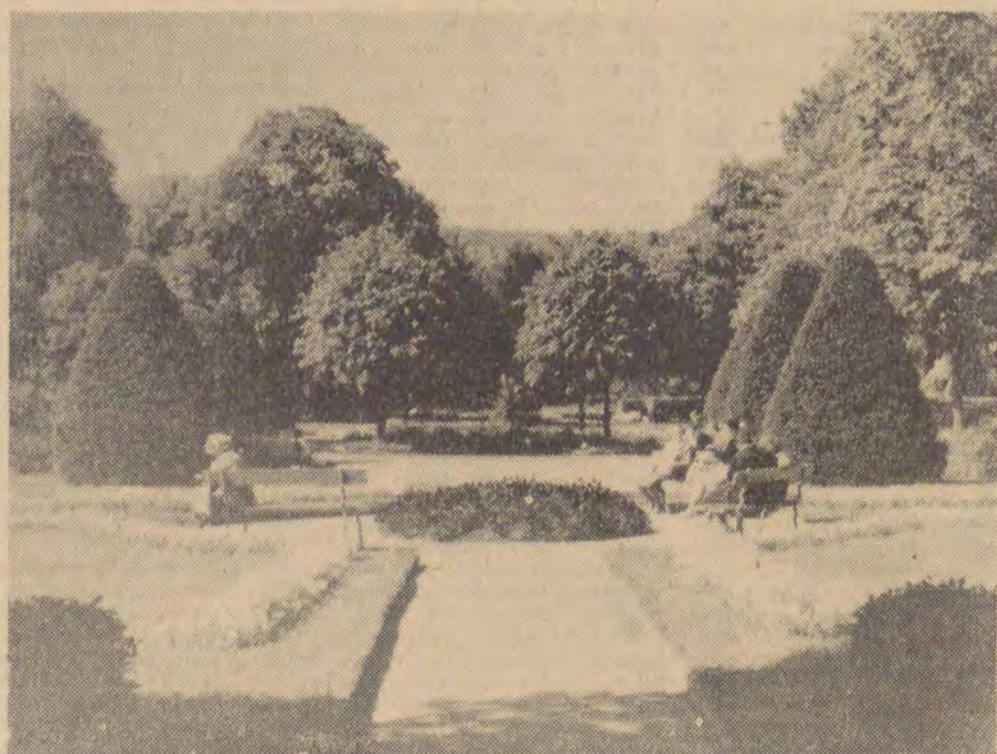
Jak wspominały stare dusznickie kroniki, za czasów Jana Kazimierza, który mieszkał pewien okres w zdobnym domu dusznickiego rynku, też się jadało skromne obiady, bo kraj potrzebował pieniędzy. Na szczęście menu tamtych obiadów nie jest znane, co pozwala przypuszczać, że obiady pichcone w stołówkach FWP nie są najgorsze w dotychczasowej historii.

Ręce starego kronikarza spisały w kronikach Dusznik wiele innych faktów i zdarzeń, notując sporo dni mokrych a posępnych, kłesk wylewu rzek, pożarów lasów, posuchy. Jednakże wśród kronikarzy nie ma takiego, który by nie zachwycał się Dusznikami. Nawet niemieckie źródła wspominają, że tutejsze łąki zawierają najbogatszy na ziemiach przyłączonych do Niemiec, zestaw witaminalnych ziół. Lekarze zaś uważali, że wystarczy pić wody mineralne plus mleko od krów pasących się na owych górskich łąkach, by poważnie podreperować swoje nerwy. Nie wiadomo czy te opracowania naukowe podsunęło Hitlerowi, czy doradził mu

któryś z lekarzy. W każdym razie — absolutny władca III Rzeszy kazał wybudować w Dusznikach pałac dla Ewy Braun, co wśród działaczy partii „narodowo-socjalistycznej” zostało przyjęte z dużą dawką humoru. (O wyczynach historycznych Ewy Braun krążyły liczne anegdotali).

HAJŻE NA MUFLON

Dla każdego kto widział pałac Ewy Braun, następnym „punktem honoru” jest wdrapanie się na Muflon. Wycieczka ta nie przypomina zakopiańskiej wyprawy na Kasprowy. Tam najpierw stoi się 1 dzień w kolejce a drugiego dnia „wśród okrzyków czekających: „a ten to ma szczęście!”, dynda na dźwięk kolejki. Wycieczka na Muflon nie przypomina także eskapady w szwajcarskie Alpy, gdzie za grube pieniądze w grubych białych kożuchach wędruje się samotnie (lub we dwoje) wynajętym na cały lub pół dnia wagonikiem kolejki górskiej, obok najpiękniejszych miejsc na świecie. Na Muflon wchodzi się leśnymi serpentynami. Można także, nieco dłuższą drogą wjechać na szczyt samochodem. Można tylko nie wiadomo po co? Najładniejszy jest właśnie widok podczas spaceru serpentynami. Duszniki leżą jak na dłoni. Kto jednak będzie optymistą i uwierzy że uda mu się zdobyć jakieś miejsce w zawsze przepełnionym schronisku na samym Muflonie będzie mu-



W Parku Zdrojowym.

stał przekonać się, że życie jest okrutne. To samo mówi muzycy-lobuziacy — parosobowe zespoły studenckie i niestudenckie, które często można spotkać na Muflonie. Biwakują samotnie, bowiem zabroniono im występować tam „na dole” z uwagi na brak jakiegokolwiek poziomu artystycznego i zbyt skłonności do nabijania kabzy forsyakami, wymienianymi szybko na tzw. „likier strażacki”.

Na Muflonie nie obowiązują ich ten zakaz, tu obowiązują prawa gór. „Muzycy” produkują się więc dowolnie. Gdy postawić takiemu wino potrafi „wyczarować” nie tylko sentymentalną melodię, ale także coś niezwyklego dla ucha, od czego się w głowie kręci. Jeden z nich opowiadał mi z wielkim przejęciem swoje wrażenia z Włoch (gdzie nigdy nie był) takimi oto słowami:

— Wszyscy Włosi jedzą makaron, ale o nas mówią że — Polacco są molto, gentile e intelligent. Jak mnie tak obejmowali, poklepywali, macali po ramionach czulem, że za chwilę będą musiał zatańczyć „zbojnickiego” lub zaśpiewać arie z kurantem.

Gdy chłopak kończył opowieść o swoich włoskich przygodach, nie miałem już wątpliwości, że tam na dole mieli rację zabraniając im występów.

Dyrektor Uzdrowiska dr Laniewski powiada: student nie student, jeśli chce chałturzyć nie pozwalam. Od tego tu jestem. Zupełnie innego zdania są widać władze miejskie Dusznik, pozwalając na sprzedaż chałtury w kioskach i sklepach Zdroju... Np. w kiosku przy ul. im. Wojska Polskiego, u wejścia do Parku Zdrojowego, zobaczyć można na wystawie prawdziwe jelenie na rykowisku, odlane w ołowiu, które kosztują po 345 zł. Róże się także od świecidełek w sklepie za Bystrzycą, które nie mają wspólnego z twórczością regionalną, jak i artystyczną w ogóle. Tymczasem w czepek się ten urodził, kto na terenie zdroju doświadczył ciekawostek i wiele innych artykułów sportowo-kosmetycznych.

Pomyślmy: i to wszystko w miejscowości, gdzie rozkwitał wielki geniusz narodu, gdzie przyjeżdża sporo gości z zagranicy i przebywają dzieci Polonii zagranicznej.

Takim to finałem chciałbym zakończyć korespondencję z Dusznik. Jeśli czas ma pokrywać miejsca, po których stapał młody Fryderyk, niechże to będzie przynajmniej patyna nie śmiecie. Jeśli nie stać nas jeszcze na nowoczesny „szlif” ze stali i szkła, dajmy uzdrowisku to co jest niezbędne dla przyjeżdżających tam ludzi.

informacje i zaczepki

Bardzo interesującą inicjatywę podjęła w czasie wakacji Łódzka „Estrada”. Otóż zorganizowano w ośrodkach kolonijnych cykl „Spotkań z aktorem”. Młodzi aktorzy Ryszard Marewicz i Wojciech Otwinowski mają w swychteczkach plik entuzjastycznych opinii na temat tej akcji. Wiemy przecież, że, zwłaszcza latem, grasują po ośrodkach wypoczynkowych chałturzyści wszelkiej maści z żalosnym najczęściej repertuarem. Inicjatywa „Estrady” jest przykładem jak należy wypierać zmiłą z estrady (tej bez cudzysłowu).



Expressowe spotkania z piosenką zrehabiliowały się. Po koszarnej piosence Odrobą uczono na ostatnim spotkaniu ładnej i bezpretensjonalnej piosenki Pawła do słów Juszynskiego.



Łódzki księgarz, Stefan Szpinger otrzymał niedawno Order Czerwonego Sztandaru za swój aktywny udział w Rewolucji Październikowej. Odznaczony walczył przeciwko wojskom Wrangla i Denikina pełniąc w Armii Czerwonej funkcję komisarza do spraw politycznych.

Istnieje w Łodzi Spółdzielnia Pracy Wyrobów Skórzanych „Ad Astra”. „Ad Astra” znaczy po łacinie „do gwiazd”. Piszęmy to, bowiem zachodzi prawdopodobieństwo, że autorzy tego pomysłu nie wiedzieli chyba co znaczy te słowa. Teraz wiada. Ale my w dalszym ciągu nie wiemy co mają wspólnego wyroby skórzane z tak górnolotnym dążeniem.



Radzimy przeczytać ciekawą książkę Romana Zrebowskiego pt. „Spotkania z czasem”, wydaną przez Wydawnictwo Łódzkie. Autor — pisarz i historyk sztuki był przez kilkanaście lat kustoszem Łódzkiego Muzeum Sztuki. Łódź jednak w książce nie znajduje się. Bedzie tam za to Paryż, Tunis czy Korsyka. Słowem — świat daleki i ciekawy.

Trzy łódzkie uczelnie: Uniwersytet, Politechnika i Akademia Medyczna mają w sumie 220 samodzielnych pracowników naukowych i ponad 200 katedr. Co roku przeciętnie sto osób otrzymuje dyplomy doktorskie.

Teatr Powszechny przygotowuje na jesień spektakl kapitulny „Dwumastu krzesel” według synonimowej powieści Ilfi i Pietrowa. Bedzie to polska premiera tej uroczej sztuki.

J. W.



Magdalena

o rannej godzinie



Magda i Mariola, bohaterki „Magdaleny” przeżyły najgorsze chwile nie w więzieniu ale po opuszczeniu więzienia. Magda nie wróciła do matki, zatrzymała się u siostry Marioli, Ireny. Przyjaciółki trafiły właśnie na ślub Ireny. Nie którzy goście weselni, zwłaza kolega pana młodego Tosię, zachowywali się w stosunku do dziewcząt zbyt swobodnie. Magda i Mariola nie czekały tuż końca wesela i pojechały na Chojny, do matki. Tymczasem Tosię nie dają spokoju dziewczętom. Zaproponował spotkanie w Grandce.

Od tej — nieudanej zresztą randki zaczyna się nowa seria przygód naszych bohaterów. A więc najpierw Geograf namawia Magdę do kontynuowania nauki. Kostek, syn Geografa, zakochał się w Magdzie, zaprasza ją do Domu Kultury na zabawę. Pokazuje się na scenie Narcyz. Wreszcie Mariola znika na całe dnie z domu i to najbardziej niepokoi Magdę.

Rany boskie, co za pechowy dzień! Nie wyprowadziło by to pana z równowagi? Całkowicie straciłam panowanie nad sobą. „Wypchaj się z tym listem!” — odparłam. Nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia. Bez przerwy szczyrzył do mnie zęby. Śmiał się okropnie. Gdyby nie miał uszu, śmiałby się dookoła głowy. „No co? Nie pokwitujesz? To polecany list!” — powiedział. Podpisałam i zatrasnęłam furtkę. „Magda! — zawołał. — Pójdziemy dzisiaj do kina? W Stylowym idzie „Et caetera pana pułkownika”. Film w dechę. Bilety załatwione. No?” „Znam lepsze rozrywki!” — powiedziałam. „Coś ty, Magda!” — zawołał i zawisł na rękach, tak że głowę miał tuż nad furtką. „Mówię ci — gadał dalej jak nakręcony — film w dechę, a ty jesteś bardzo fajna”. „Dziękuję” — powiedziałam — słyszę to nie pierwszy raz”, „Ale ja ci powiadam po raz pierwszy,

Czy to nie ważne?”. Śmiać mi się chciało z tego pajaca, furtka była wysoka i musiał dobrze się trzymać rękami, żeby mnie widzieć. Twarz mu przy tym poczerwieniała, wyglądał jakby się dusił. „No co, idziemy?” — zapytał. „Dziękuję, może innym razem” — odparłam. „Do zoba, Magda! Nie tracę nadziei!” — powiedział. Odwróciłam się bez słowa i poszłam do domu. Daję sobie głowę uciąć, że wisiał jeszcze na tej furtce, zanim nie schowałam się za rogłem domu. Słowo daje, mam szczęście do wariatów. Jak tak dalej pójdzie, to chyba zostaną żoną idioty.

Nie potrzebuję mówić, że list był od Kostka. Tym razem wygłupił się na całego. Dorwał się chyba do jakiejś książki miłosnej i przepisał z polowe, bo wątpię, żeby wymyślił to wszystko w swojej mózgowicy. Pan wie o tym dobrze, że wcale nie blizszczał dowiec, a w liście roilo się od błyskotek nie z tej ziemi. Musiało być z nim niedobrze, skoro zdobył się na to. Gdybym tak urządziła wieczór czytania jego listów, wszyscy słuchacze pospadaliby z krzesel. Słowo daje. Wyobrażam sobie, jakby ryczał Narcyz. Po co zresztą szukać Narcyza, Tosię i Łodek również konaliby z uciechy. Zwłaszcza Tosię. Czy pan zdaje sobie sprawę z tego, co ten wariat pisał? Jasne, że o sobie i o mnie, ale w jaki sposób? Na śmiech mi się zbiera, niech pan słucha. Co za kretny, napisał, że nie potrafił obronić się przed strzałą, która przebiła jego serce, i że ja o tym wiem najlepiej. Z kolei powtórzył zdanie jakiegoś Claudela, przyznał się do tego, że powtórzył, a więc miałam rację mówiąc o przepisywaniu, że wszystko w nim wszytkiego we mnie żąda. To przynajmniej było jasno powiedziane i nie powiem, ładnie. Kiedy pierwszy raz zaczynałam z Borutą, myślałam podobnie. Może pan ciekawy, dlaczego to ja właśnie stałam się dla niego „tym wszystkim”, a nie, na przykład, Mariola? No więc, powiem panu, i na to znalazł odpowiedź. Ponieważ to byłam ja i ponieważ to był on. Napisał, że tak powiedziała Izolda do swojego Tristana, oczywiście ja miałam być tą Izoldą. No więc widzi pan, kim mnie już nie ochrzczono. Zaczęłam karierę od Miłej Jill, a skończyłam na Izoldzie. Ciekawa jestem, czy ta Izolda była interesującą babką. Jakim imieniem ten wariat jeszcze mnie przezwie? Podjeżdżam, czy tato, pan sobie przypomina Taty, którego potrafiła ciężarówką na Południowej, to ten opiekun Marioli, był tak samo stuknięty w głowę, jak Kostek. Mariola była dla Taty

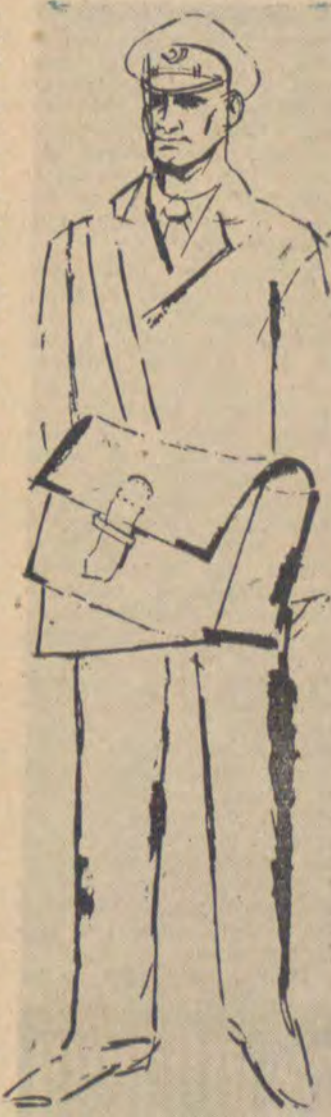
Judytą. Dziękuję, wystarczy mi własne imię.

Ale to wszystko bajerowanie, jak powiada Mariola. Szkoda było jego zachodu, może lepiej by było, gdyby Kostek znał moją przeszłość. Nie musiałby wówczas wysilać się na puste dowcipy. Niech pan nie zaprzecza, wiem co mówię. Jedynie ludzkie zdanie zamieścił na końcu listu. Zaproponował mi obejrzenie meczu piłki nożnej. Oczywiście LKS z jakąś drużyną ligową, nie pamiętam już z którą. Przysięgam, że tym razem Kostek dobrze zagrał. Bardzo lubię oglądać zawody sportowe i kiedy chodziłam jeszcze do szkoły, nie opuściłam ani jednego meczu. Pan wie, dlaczego przestałam się interesować sportem. Powiedzmy, że siła wyższa tak zrzuciła. W pace można oglądać jedynie mecze na ekranie telewizyjnym. Rzecz jasna tam, gdzie są telewizory. Więc Kostek znał moje zamiłowanie i liczył na to, że mu nie odmówię. Za jednym razem chciał upiec dwie pieczenie: i mecz obejrzeć, i mieć mnie przy sobie.

Ciotka przyszła i jak można było się domyślić zaczęła nalegać, abym nie odmówiła prośbie Kostka. Oczywiście, nie miałam zamiaru odmawiać, niby z jakiego powodu miałam rezygnować z przyjemności? Ale nie odpowiedziałam wprost ciotce, lecz uśmiechnęłam się zjadliwie. Ciotka zapytała: „Jak mam rozumieć twój uśmiech, Magda?”. „Może pójdę, a może nie” — odpowiedziałam. „Nie żartuj sobie, Magda! — upomniwała mnie ciotka. — Chłopak jest poważny, nie to, co te wszystkie Narcyzy i Boruty. Bodajby tego Borutę nie wypuścili z paki!”

„O, wa! — zawołałam pogardliwym tonem. — Niech ciotcia się nie unosi. Niech ciotcia nie zapomina, że ja również siedziałam w wię-

Dalszy ciąg na str. 10



Once there was a rich merchant in Singapore. He worked every day and he worked every night. He got a lot of money every day and he counted his money every night after his dinner. He took the money to the bank every week. He had a lot of money but he did not buy any nice things. He did not buy any flowers or any pictures or any furniture or any nice clothes. His house was ugly. There were empty tins and dirty plates and dirty cups everywhere. There were rats in the living-room sometimes. They ate the rice in the kitchen and they ate the soap in the bathroom.

His neighbours said:
— He's a stupid person. He has a lot of money but everything in his house is dirty.
One day he was ill. He said:
— Perhaps I'm going to die.
He looked at the walls of his bedroom and they were dirty. There were some trees in the garden, but the windows were dirty and he did not see the trees.
He said:
— Nothing in my house is beautiful. I'm going to buy new things for every room. I'm rich and a lot of people are poor. I'm going to help some of the poor people in my town.
But it was too late. The rich merchant of Singapore died.

This summer Mary, Betty and John went to the sea together. There was a crowd on the beach and there were a lot of people in the sea. The sun was shining and the sand was very warm. Mary was the first in the water. Betty asked:
— What's the water like?



— It's warm! Come in with me!
— I'm coming.
John said:
— And I'm coming too.
Betty and John ran into water. John had a big ball with him. Betty asked:

Franz Liszt war in Weimar. Eines Tages machte er einen Spaziergang durch die Strassen dieser bekannten Stadt. Sie gefiel ihm sehr.
Nach einiger Zeit wurde er müde und er ging in ein Kaffeehaus. Er bestellte einen Kaffee und trank ihn ruhig an seinem Tisch.
Plötzlich trat ins Kaffeehaus ein alter Bekannter von Liszt. Sie begrüßten sich herzlich. Nach einigen Minuten nahm der Bekannte sein Taschentuch aus der Tasche heraus und sagte:
— Dieser Knoten am Taschentuch erinnert mich immer daran, dass du mir noch nicht das Geld abgegeben hast. Du hast es vor vier Monaten geliehen.
Liszt lächelte freundlich und sagte ruhig:
— Mein Lieber. Es ist Zeit, dass du ein neues Taschentuch nimmst.



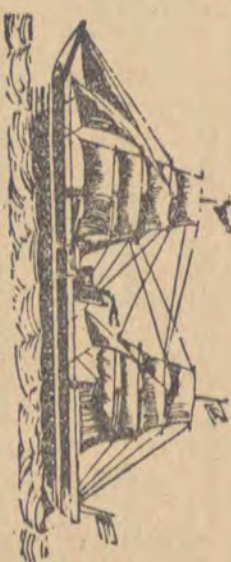
— Will you throw me the ball?
— All right. Look out!
John threw the ball to Betty. She didn't catch it and it hit her. She fell into the water, and she laughed. They played together in the waves for half an hour. Then John said:
— The waves are getting bigger. I'm going to the swimming-pool. Will you come with me, Betty?
— I won't come with you.
— Will you come, Mary?
— No, I'll stay here with Betty.
— Oh well, I'll look for some other friends, then, — said John. He was angry and he went away. He took his ball with him. The girls stayed in the sea. Betty said:
— He'll be sorry.
— Yes, we'll have more fun here, — said Mary.
The waves grew bigger and bigger, and the sky grew cloudy. Suddenly the rain came down. Betty ran across the beach to the swimming-pool. Mary after her. The water in the sea didn't frighten them, but the rain did.
John was in the building by the swimming-pool. He saw Betty and Mary and he shouted:
— What do you want? There's no fun here.
The girls came into the building. Betty said to John:
— Our clothes and our towels are on the beach in a bag and we're very wet. Will you lend us your towel, please?
John smiled:
— You need me now.

— 94 —
DAS TAGEBUCH

Eine Dame machte einmal eine Reise mit einem Ozeandampfer. Die Dame führte ein Tagebuch. Nach dem ersten Reisetage schrieb sie:
„Das Wetter ist sehr schön, aber morgen wird vielleicht ein Sturm sein. Ich fühle mich gut. Die Gesellschaft ist aber nicht interessant.“
Nach dem zweiten Reisetage schrieb sie:
„Der Kapitän sagt, dass er mich liebt. Er gefällt mir. Der Kapitän sagt, dass er mich liebt. Er will mich sogar heiraten. Ich habe NEIN gesagt.“
Nach dem dritten Reisetage schrieb sie:
„Der Kapitän will mich unbedingt heiraten. Er kann ohne mich nicht leben; so sagt er. Er will kein NEIN hören, sonst tötet er mich und sich und wird auch das Schiff versenken. Drei hundert Personen werden ihr Leben verlieren. Ich habe NEIN gesagt.“
Nach dem vierten Reisetage schrieb sie:
„Ich habe dreihundert Personen, das Schiff, den Kapitän und mich getötet.“



He gave them his towel and they said:
— Thank you. We're sorry.
Then they went to the girls' room. They dried their hair and their arms and legs. But they were cold in their bathing-costumes.
They went out of the girls' room again. John said:
— I've been to the beach and I've got your clothes. They were in a bag and they're dry. Here they are.
The girls were very pleased and very ashamed:
— Thank you very much, John, — they said together.
The sun soon came out again, and John and Mary and Betty played together till the evening.



— 95 —
IM BÜRO

Ein Bürochef hatte sehr viel Arbeit. Er brauchte eine gute Sekretärin. Es kam eine junge Dame. Sie gefiel dem Bürochef und sie begann ihre Arbeit schon am nächsten Tag.
Der Bürochef diktierte viele Briefe. Die Sekretärin musste viel auf der Schreibmaschine schreiben. Die junge Dame schrieb sehr schnell und sehr gut.
Eines Tages war das Band in der Schreibmaschine zu alt und der Bürochef sagte:
— Nehmen Sie ein neues Band.
Die Sekretärin antwortete schnell:
— Nein, mein Herr, das werde ich nicht machen. Ich kann das nicht machen. Chopin konnte auch keine neue Saite ins Klavier legen.



Dalszy ciąg
ze str. 9

zienia. Po co ta mowa? „Magda! — krzyknęła ciotka. — Czy koniecznie musisz mi dokuczać?“. No i co by pan zrobił z ciotką? Nie można było z nią rozmawiać. Kiedy mi się wydawało, że to ja znajduję się w sytuacji godnej politowania, okazało się, że ciotka cierpiała jeszcze więcej. Musiałam jej na pocieszenie przeczytać cały list od Kostka. Mówię panu, była wniebowzięta.

Zgodnie z zapowiedzią Kostek przyjechał po mnie. Boże kochany, jak ciotka skakała koło niego. Kazała mi się ubrać w najlepszą bluzkę, chociaż szliśmy tylko na mecz. Mimo tego, że sama sobie nakazałam sztywność, pan wie, że u mnie odstawiać takie role, chciałam Kostka trzymać z daleka, nie potrafiłam ukręcić pewnego podniecenia. Więcej się przejmowałam tym meczem niż randką z Tośkiem w Grandce, mimo że wtedy szłam do kawiarni po raz pierwszy po wyjściu z paki. Sama nie wiem, co się ze mną działo. Ciotka zauważyła to i widziałam jak była zadowolona. Gdyby mogła zapakować mnie w walizkę i przekazać Kostkowi. To można było odczytać z jej oczu jak z książki. Na domiar wszystkiego i Kostek miał minę kretynską, odpowiadałam więc na ich pytania głupio i w ogóle bez sensu.

Pojechaliśmy więc na ten

mecz. Może pan zapyta, dlaczego w ogóle o tym mówię, o nie wspominam o innych wydarzeniach. No właśnie, o Geografii i tak dalej. Na Geografa przyjdzie kolej, a o meczu muszę powiedzieć. Żałuję bardzo, ale parę słów musi pan wysłuchać. Jednak interesuje to pana? Nie chce mi się wierzyć. Ciekawy gość z pana. Więc powiem krótko, że przegraliśmy. Cholerna kłapa, jak powiedział Kostek. Nie, proszę pana, siedzieliśmy na ławkach przed trybuną. Osobiście wolę miejsca po przeciwną stronę. Tam się rozgrywa hece nie z tej ziemi. Szczególnie, kiedy jest mecz ciekawy i ludzi zejdzie się tyle, że trzeba stać na jednej nodze. Przez pół godziny rzędy tylne wołają na tych, co stoją w przodzie: siadać i siadać. Ale jak usiąść, chyba na głowie sąsiada. Ten mecz był okropny. Kostek ochrypl od krzyku, tak się denerwował. Nie podejrzewałam go o to, że tak potrafi się przejmować. I ja się dałam porwać ogólnemu nastrojowi. Wrzeszczałam jak wariatka. Niech pan sobie wyobrazi: nasi grali nawet nieźle, ale tylko na środku boiska, natomiast byli bezradni pod bramką. Aż człowiek skrecało ze złości. Wychodziło na to, że całe ich zadanie polega na tym, aby bawić się piłką i broń Boże nie strzelić gola. Jakis kibic z rodu wariatów wskakiwał co chwilę na ławkę, i rozkraczyszy się okropnie kłął. Strasznie fajnie to wyglądało, bo był łysy i gruby, gdyby tak wybiegł na boisko, zatkalo by go po stu metrach. Ludzie skrecaли się ze śmiechu. No, ale wszyscy zachowywali się podobnie. Krzyżeli i śmiali się na przemian. Nie chciałabym być w skórze

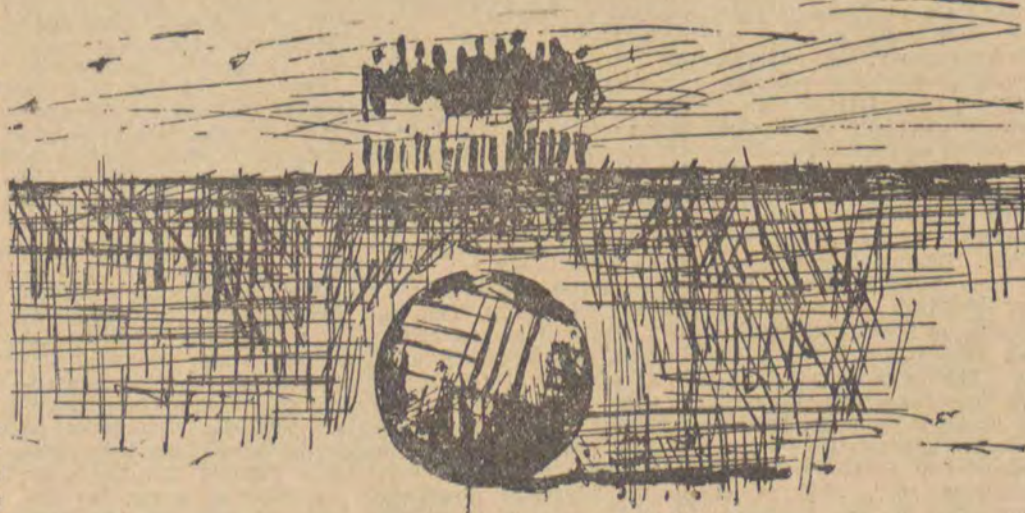
graczy. Cholernie nieprzyjemna rola.
No więc, kiedy tak wrzeszczałam i wygłupiałam się jak inni, ktoś mnie objął z tyłu i pocałował w szyję. Nie ma pan pojęcia, jaka byłam wściekła. Chciałam dać gościowi w pysk, odwróciłam się i zobaczyłam Narcyzę. Ryczał tym swoim basem jak szalony. „Cześć Magda! Jak się masz! Co robisz na tej operze?“. Niech pan sobie wyobrazi moje zdumienie. Trzeba mieć cholernego pecha, żeby pośród trzydziestu tysięcy ludzi odszukać swojego znajomego. Gdzie tam zresztą odszukać, usiąść przy nim! Ale na meczach często tak bywa. Narcyz siedział w jakimś szemranym towarzystwie. Był z nim ryży chłopak, który bez przerwy miał otwartą gębę, jakby się uparł, aby pokazywać dziurę po wybitym zębem, i dwie wydrowate babki. Wszyscy ogromnie głupio szczyrzyli zęby, Narcyz chwycił mnie za rękę i zaczął ciągnąć do tyłu. „Magda, chodź do nas,

zmieścisz się“ — zawołał. „Odwal się Narcyz — odparłam. — Nie pójdę“. „Niby dlaczego? Ciotunia zabrania?“. Ludzie w naszych ławkach ryknęli śmiechem. „Nie wygłupiaj się Narcyz“ — powiedziałam. Kostek wstał i wyrwał moją rękę z ręki Narcyza. Twarz miał wykrzywioną ze złości. Słowo daje, zaskoczył mnie. Narcyz również wstał i patrzyli na siebie obaj, jakby się chcieli zjeść. Myślałam, że dojdzie do awantury i ludzie zaczęli patrzeć na nas, a nie na boisko, a ten łysy wariat, który co chwilę wskakiwał na ławkę, krzyknął: „Dalej chłopaki, na całego!“. Teraz już kilka najbliższych rzędów zwróciło na nas uwagę, zaczęło się śmiać i rzucać pod nasz adres różne docinki. Usiadłam, okropnie to było nieprzyjemne. Pierwszy opamiętał się Narcyz. Pogroził temu grubemu i powiedział do Kostka: „W porządku, nie poznałem cie“. Narcyz usiadł i Kostek też usiadł, ale już nastrój się zepsuł,

zaczęłam się poważnie obawiać, czy cała heca skończy się tylko na tym.
Mecz był coraz nudniejszy, więc ludzie zaczęli wychodzić na długo przed zakończeniem. Zebraliśmy się i my z Kostkiem. Narcyz ze swoim towarzystwem szedł za nami i udawał, że nie wie, czy stało. Pan wie, jaki korek robi się przy wyjściu ze stadionu, nieraz trzeba czekać dwadzieścia minut, zanim przewali się główna fala. Kostek odciągnął mnie na bok, Narcyz ze swoimi również przyłączył się do nas. O niedawnej awanturze nawet nie wspomnieli. „Poznajcie się“ — powiedział. Uściśniliśmy sobie ręce z babkami i z tym ryżym, babki były okropnie wymalowane. „Magda — powiedział Narcyz — gdzie ty się podziewasz, dzwonię do ciebie od kilku dni. Muszę powiedzieć, że ciotka mnie niezbyt mile przyjmuje“ — „Nie jesteś w jej guście“ — odparłam. „Być może, że zmieni zdanie“ — rzucił mi w odpowiedzi,

„Czego chciałeś ode mnie?“ — zapytałam. „Boruta przesyła ci pozdrowienia“. „Już mi to mówiłeś“ — rzekłam. „Owszem, ale on ci przesyła nowe pozdrowienia“. „To już mniej ciekawe“ — rzuciłam ze złością. Poznałam, że Narcyz umyślnie gra mi na nerwach. „Nie wiem, czy takie nieciekawo — zauważył. — Mariola ci nic nie mówiła?“. „A cóż ma z tym wszystkim wspólnego Mariola?“ — zapytałam z niepokojem. „Ona spotyka się z Borutą. Chodzi do niego“ — rzekł Narcyz z naciśnięciem, który tylko dla mnie był zrozumiały. Kostek nie orientował się o co chodzi, bo skąd, a tamci, ten ryż i te dwie wydrowate mieli miny kompletnych baranów. „Powinnyśmy porozmawiać“, — powiedziałam do Narcyza. „A widzisz. Najwyższy czas. Ja wiem coś co cię na pewno zainteresuje“. „Słuchaj Narcyz, wiesz co o Marioli?“ — zapytałam. „Ależ, kochanie, nie przejmuj się — odparł. — To nic złego. Ale chyba ciekawe. Jestem pewien, że cię to zaciekawi“. Mówię panu, zaniekpokoiłam się poważnie. Gdybym nie widziała, jak Mariola wślada do tajemniczej warszawy, nie zwróciłabym uwagi na słowa Narcyza. Uznałabym je za zwykłą grę. Ale teraz? Obydwie wydry zaczęły okazywać wyraźne zniecierpliwienie. „Prześcieście już z tą Mariolą“ — zawołała jedna z nich piskliwym głosem. Narcyz zwrócił się do mnie i do Kostka: „Pójdziecie z nami?“. „Dziękuję, muszę być w domu“ — odpowiedziałam. „No to pa!“ — rzekł Narcyz i pocałował mnie w policzek. Zbliżował na punkcie tego całowania. — Śnij o mnie — krzyknął. — Zadzwoń do ciebie“.

D, c, a



Magazyn telewizyjno-filmowy, „Ekran”, jest bez wątpienia tygodnikiem mocno elitarnym, i trzeba mieć duże „chody” wśród kioskarzy, żeby zapewnić sobie jego regularne kupno. Dlatego sądzę, że większość państwa nie miała szczęścia zapoznać się z artykułem zamieszczonym w niedawnym numerze „Ekranu” (nr. 32). A ponieważ ten artykuł wydaje się co najmniej ciekawy, a już na pewno wielce oryginalny ze względu na niektóre spostrzeżenia, warto go więc poddać małej analizie, a przy okazji i próbie weryfikacji, jego stronę merytoryczną, gdyż retoryczna jest Copyright by każdy autor, a ja nie posiadam upoważnień.

Artykuł, pisał pani Jolanty Mach, nazywa się symptomatycznie: „Kilka dni chudych i jeden mit”. Alegorie, użyte w tytule, owe „dni chude” i „mit”, dotyczą łódzkiego ośrodka telewizyjnego. Co prawda, to tak za bardzo znowu niewiadomo, czemu je w treści artykułu przyporządkować. Najprawdopodobniej, biblijna „chudość” symbolizuje te dni w których LOT emituje swój program lokalny, zaś „mit” odnosi się do bezrozumnej wiary w „wszechwładzę pieniądza”. Ale mniejsza zresztą o to, czy i do czego. To już naprawdę zupełnie drobiazg.

Artykuł zaczyna się tak: „Łódzkie rozmowy o programie mają to do siebie, że wprowadzają słuchacza w gąszcz spraw ogólnych, zasadniczych. Zwykły widz jest może zadowolony, pragnąłby zapewne garsteczki konkretnych o swoim telewizyjnym podwórku, ale autor artykułu zyskuje generalia, które na początek są zawsze przydatne”. (Wszystkie podkreślenia moje — Kowalski).

Z przytoczonego wyżej wstępu wynika jasno, że chociaż autorka wysuwa zastrzeżenia przeciwko poruszaniu w „Rozmowach o programie” spraw zasadniczych (czyli, tych najważniejszych), to jednocześnie przyznaje samą, że podobne stanowisko pozwala jej zyskać potrzebne generalia (?). Tak, i zaraz dalej następuje podtytuł: „Walka z monopolistami”. Oraz tekst:

„Generalia te są w gruncie rzeczy zawsze te same. Czy będzie to zebranie Inicjatywne Klubu Przyjaciół Telewizji przy Tow. Przyjaciół Łodzi, czy któraś z kolejnych, rzadkich

zresztą, rozmów — mowa jest nie o programie, lecz o sytuacji LOT, wyznaczonej przez dyktat i skapstwo centrali warszawskiej”.

W taki sposób, wytłumaczono nam przejrzyście, o jakie to generalia chodzi. Że o skapstwo i dyktat centrali. I że w Łodzi nic, tylko ciągłym lamentem na ten temat, a wszystkie telewizyjne „Rozmowy o programie” walcują w kółko Macieju skapstwo i dyktat.

No więc, najpierw zacząłem sobie przypominać, czy rzeczywiście wszystkie „Rozmowy” tak ciągle? I owszem. Doliczyłem się. Jednej audycji w czerwcu, w której red. Jazdzyński, powołując się na artykuł „Ko-

natomiast bardzo dużo słów o słabościach i wadach łódzkiego programu telewizyjnego.

Na przykład ostatnia „Rozmowa”, lipcowa, zapoznała widzów z planami programowymi ośrodka na najbliższy sezon. Nie potrafię, p. Mach w swoim artykule, udokumentować powyższych stwierdzeń dosłownymi cytatami z wypowiedzi redaktorów Jazdzyńskiego i Orłowskiego, ale pamięć ludzka zawodna, a mag netofonu jeszcze się nie dorobiłem. Sądząc wszakże po pedantycznie zacytowanych niektórych wypowiedziach z audycji czerwcowej w artykule p. Mach, autorka przypomina sobie

ryfikować sugestie p. Mach, dowiedzieli się o nich dopiero z tychże sugestii. A że dowiedzieli się fałszywie, to już nie ich wina.

Pobawmy się jeszcze trochę w cytowanie: „Warszawa „pozwoila” Łódzkiemu Ośrodkowi Telewizyjnemu wejść na antenę ogólnopolską z Teatrem Popularnym i muzyką łatwą, lekką i przyjemną”.

Trochę nieostrożne sformułowanie, pomimo kurtuazyjnego cudzysłowu, jak na rzecznicę starającego się udowodnić, że nieprawdą jest, iż dyktat i skapstwo... Zresztą, mniejsza o to. Gdybym pozwolił sobie na wyszukiwanie podobnych, jak

partnerami zachodzi stosunek krzywdzonego i krzywdziciela, pierwszemu ofiarowuje się współczucie, całym natomiast zainteresowaniem obdarza się drugiego. W końcu nie wiadomo, komu na tym świecie gorzej: krzywdzicielowi czy krzywdzonemu — krzywdzicielem. No cóż. Można i tak dedukować. W mowie potocznej podobne rozumowanie nazywa się odwracaniem kota ogonem, co jest

niebezpieczne dla wykonawcy, bo kot może go zadrapać.

A teraz serio. Artykuł „Kilka dni chudych i jeden mit” stara się znaleźć — założmy, że samorzutnie i spontanicznie, bez jakiegokolwiek akredytowanego polecenia — odwrotną stronę medalu dla Ośrodka Łódzkiego. Wychodzi mianowicie z założenia, że „mit o wszechwładnym pieniądzu” przesłonił przychylną najwłaśniejszą; słabość programu lokalnego, i stąd, wszyscy, jak jeden mąż, nie innego nie czynią, a tylko białadą o niedzy LOTu: „Zdarza się jednak, że ktoś (?) próbuje znaleźć przychylną słabość łódzkiego programu lokalnego. Wtedy właśnie „atmosfera” podtrzymywana umiejętnie to płacem, to bojowymi okrzykami, nomaga podać za jedną i wszystkie tłumaczącą przyczynę brak funduszy rozdzielanych centralnie. W ten sposób rodzi się mit o wszechwładnym pieniądzu”. I w ten sposób wszyscy okazujemy się albo żebrakami, albo demagogami, przeszkadzającymi ośrodkowi w pracy i krzywdzącymi centralę.

Trudno, pogódźmy się z taką interpretacją, zróbmy tę przyjemność Autorce. Pogódźmy się dla dobra sprawy, gdyż po — wystarczająco chyba zacytowanych, dywagacjach natury ogólnej, przechodzi ona do szczegółowego omawiania poszczególnych pozycji programu lokalnego, usiłując również usystematyzować i te niedomagania, jakie wynikają obiektywnie z braku funduszy i urządzeń. Co prawda, w artykule nie wymienia się, ani nie wylicza, czego to Łódzkiemu Ośrodkowi brakuje, a ja tego też nie zrobię, ponieważ na ten temat był wyczerpujący artykuł w „Odgłosach” „Obalenie mitu”, nie ma sensu więc powtarzać tego, o czym już i wróble plotkują. Z „Kilku dni chudych” wniosek jest oczywisty: poza magazynem „W Środku Polski” wszystkie inne pozycje są do kitu, lecz nie z braku funduszy,

ani urządzeń, tylko po prostu z powodu kompletnej ignorancji oraz mniej niż przeciętnej możliwości łódzkich realizatorów. Dlatego na przykład taka ambicja ośrodka, jak robienie programu publicystycznego na antenie ogólnopolskiej, jest wręcz śmieszna i bezpodstawna.

Nie mogę konkurować w znajomości podwórkowych tajemnic telewizji łódzkiej z p. Mach, może też dlatego o możliwościach łódzkich realizatorów mam zgoła odmienne zdanie, chociaż i mnie program lokalny często — gęsto się nie podoba. Ale zdawało mi się dotąd, że żołnierz bez karabinu strzelać nie potrafi, ale p. Mach wytłumaczyła, że czemu nie, można i bez karabinu.

Zaluję tylko, że nie istnieją możliwości porównania programu lokalnego Łodzi z programami tego typu innych ośrodków terenowych. Taka orientacja porównawcza, do jakich osiągnięć doprowadza korzystanie z wozu transmisyjnego, oraz innych niezbędnych, a brakujących Łodzi urządzeń, mogłaby okazać się niezmiernie interesująca. Pozwoliłaby może przeklasyfikować niektóre „negatywy” dotychczasowego programu lokalnego na „pozytywy”?

Co by się w końcu nie powiedziało, muszę przypomnieć, że nie zdarzyło mi się spotkać z obiektywizowaną w superlatywy zachwytu opinią o programie lokalnym LOTu. Artykuł p. Mach natomiast dowodzi fałszywości takiego sądu. Nie spotkałem się dotąd z metodą polemiczną, która wytacza ciężkie działa przeciwko czemuś, o czym nie było nawet wzmianki. Dowcipne. przyznaję.

Podtrzymuję jedną z obiektywnych przyczyn słabości programu łódzkiego: z pustego nie nalejesz, wyważam wzorem p. Mach dawno otwarte drzwi, mówiąc: program lokalny jest często słaby. Tak. „Spojrzenia i opinie”, „Aktualności łódzkie” są powtórzeniem wiadomości prasowych, i to w dodatku nieciekawym, drętym. Funkcjonalność „Poradnika Turystycznego” stoł w ogóle pod ogromnym znakiem zapytania, i sprawia wrażenie, że jedyną funkcją jest tutaj załatanie dziury w programie.

Toteż, odrzucając dygresyjną część artykułu „Kilka dni chudych i jeden mit” oraz próby analogicznych dygresji w jego części drugiej, otrzymamy zespół uwag o programie lokalnym, słuszny i obiektywny. Do tej analizy dorzucę parę postulatów:

LOT angażuje do współpracy stale jednych i tych samych ludzi. Gdyby wykonywali oni swoje zadania twórcze zawsze dobrze, nie byłoby o co kopać kruszyc. Ale dzieje się odwrotnie, rozmaitości, i zastanawiamy się, dlaczego. LOT nie szuka, innych osób. Dlatego dobrze by się stało, aby nastąpiły w krótkim czasie innowacje personalne, i nie tylko: czas najwyższy pomyśleć o nowych typach audycji lokalnych, nie bać się prób ani eksperymentu. Wtedy nikt nie będzie miał podstaw do stawiania zarzutu: „braku inwencji, odwagi, drapieżności”.

KOWALSKI

O JEDNYM ARTYKULE i KILKU(NASTU) POMYŁKACH

mu bije dzwon”, rozpoczynając w „Odgłosach” dyskusję o aktualnej sytuacji i wynikających z niej perspektywach rozwojowych dla telewizyjnych ośrodków terenowych, dowiadywał się od red. Orłowskiego, jak ta sytuacja kształtuje się w Ośrodku Łódzkim. Podkreślał, że zarówno czerwcowy „Rozmowa o programie”, jak i artykuł w „Odgłosach”, miały miejsce prawie bezpośrednio po ogólnopolskiej konferencji dyrektorów ośrodków terenowych w Katowicach, z której postulaty powędrowały do Warszawy, a traktowały o sprawach, poruszonych w „Komu bije dzwon”.

Na „rozmowę” czerwcową powołuje się także autorka artykułu w „Ekranie”, ale powołuje się generalnie, pryncypialnie, — a co gorsza: wyłączenie, nie wspominając ani słowem o ogólnym kontekście zdarzeń, szeregując wszystkie „Rozmowy” w jeden czambuł jako błędolenia nad dyktatem i skapstwem. Jest mi stad niewymownie przykro, że tych innych „Rozmów” nie potrafię sprecyzować w myśl wskazanej przez autorkę receptury. Pewno dlatego, że w tych, pominiętych — czy kurtuazyjnym? — milczeniem „Rozmowach” nie było ani słowa o dyktatach centrali, a

dokładniej ode mnie, o czym to mówiono i radzono w audycji z lipca. Cały skopuł w tym, że ani o tej, ani o innych, nie istnieje najmniejsza w nim wzmianka, pomimo swobodnego operowania liczbą mnogą — rozmowy. Wynikać by stąd mogło, że albo autorka celowo nie wzięła ich pod uwagę, aby nie przeszkodzić sobie w zdobywaniu generalii, lecz w takim razie, gwoździł zadośćuczynienia prawdziwie publicystycznej powinna zaprzestać korzystania z liczby mnogiej, wprowadzając czytelników „Ekranu” w błędne mniemanie, albo też, zwyczajnie: posiada zbyt krótką pamięć, co się z kolei nie zgadza w zestawieniu ze skrupulatnymi cytatami „Rozmowy” czerwcowej. I sam już teraz nie wiem, co z dwóch złego lepsze — krótka pamięć czy celowe omijanie faktów? Salomonowym wyjściem z sytuacji byłoby zwołanie odpowiedź działalności na „Ekran”, wyśtosowanie listu do redaktora naczelnego z prośbą o sprostowanie tej tendencyjnej części artykułu. Ale tu protestuje zdrowy rozsądek, bo i co redaktorzy „Ekranu” mogą wiedzieć o lokalnych rozmowach o programie? — przecież nie oglądają ich specjalnie w Warszawie, aby móc później zve

wyżej, sprzeczności merytorycznych, pomijając już wszystkie niekonsekwencje logiczne i złośliwe trawestacje wypowiedzi redaktorów Jazdzyńskiego i Orłowskiego, musiałbym zająć całą kolumnę, na co szkoda miejsca. Zalażyłem tylko małą próbkę, swoim czytelnikom, aby nikt nie posadził mnie, że polemizuję ze zdaniami wyrwanymi z ogólnego kontekstu, gdyż chociaż jestem tylko skromnym felietonistą, nie nauczyłem się jeszcze tak brzydkiego zwyczaju. Jakies elementarne zasady etyki dziennikarskiej przecie obowiązują.

Szkoda, że i autorka „Kilku dni chudych” przy wyszukiwaniu generalii w do swojego artykułu, nie pomyślała o takich sprawach. Powoływanie się na pryncypia wybrane i przypasowane do koncepcji założonej czy też narzuconej odgórnie, z zupełnym ignorowaniem pozostałych, ale tych nie „pasujących”, nie wychodzi na zdrowie żadnemu publicyście, a przede wszystkim podważa jego własny autorytet, stawiając go w dwuznacznej sytuacji. A p. Mach, po przemysłnym wyluszkaniu ze wszelkich kontekstów jedną „Rozmowę” i jeden artykuł z „Odgłosów”, postawiła następującą tezę:

„Jeżeli między dwoma

Temple jest dziś znaną gwiazdą telewizji amerykańskiej. W życiu spotkał ją już niejedną zawód, ale w końcu potrafiła się ustabilizować. Stacja telewizyjna NBC pokazuje co tydzień jej program „Shirley Temple Show”. Shirley występuje w nim razem z trójgim swoich dzieci, którym opowiada przed kamerą bajki. Od czasu do czasu urozmaica swój program,

zapraszając do współpracy znanych aktorów amerykańskich. Jej „show” obliczony jest przede wszystkim dla najmłodszych, ale i starsi widzowie chętnie oglądają „Shirleykę”, ongiś „pierwsze dziecko filmu”.

Jack Benny ustępuje popularnością takim właścicielom „show” w telewizji amerykańskiej jak Sullivan czy Como, co nie znaczy, że jego program nie

posiada tysięcy stałych odbiorców. Benny jest starszym panem o niesłychanie wysokich ambicjach politycznych, co daje mu możliwość wprowadzenia do swego „show” aktualnej satyry politycznej. Benny pragnie bawić i wykiwać najbardziej znanych polityków amerykańskich. Ostatnio stwierdził, że za trzy lata zostanie mianowany na prezydenta USA, i swe autografy podpisuje: Prezydent Jack Benny.

Niejaki A. Hahn domagał się odszkodowania w wysokości 500 tysięcy dolarów od amerykańskiej sieci telewizyjnej NBC. Powodem było nadanie sztuki „To jest moje życie” której treścią są losy rodziny pana A. Hahna. Spektakl zaprezentował przykładowe i harmonijne współzycie, zaś pan Hahn twierdził, że w rzeczywistości jest zupełnie odwrotnie.

Nasi widzowie pamiętają seryjny film amerykański „Człowiek do wynajęcia”. Głównego bohatera, detektywa przychodzącemu każdemu z pomocą grał Patrick Mc Goohan. Ostatnio występuje on w filmach angielskich i telewizji BBC. Jego pasją pozostał sport samochodowy. Autorem tego niecodziennego portretu Goohana jest George Ward.



Cudowne dziecko filmu lat trzydziestych, Shirley



SZTUKA W. ORŁOWSKIEGO w TV-KRAKÓW

Z przyjemnością możemy donieść czytelnikom, że jeszcze w listopadzie bieżącego roku, Krakowski Ośrodek Telewizyjny zrealizuje — w ramach Teatru Telewizji — sztukę łódzkiego dramaturga, a zarazem dyrektora LOT. Władysława Orłowskiego — „Sprawiedliwość w Kłoto”. Sztuka ta, jak pamiętamy, była w reżyserii Ludwika Benoit na scenie Teatru Nowego i zyskała pochlebne oceny prasy — w Krakowie będzie ją natomiast realizować Krystyna Skuszanka. Ponieważ Kraków nie ma studia, a jedynie wóz transmisyjny, rzecz będzie transmitowana z sa-

li Teatru Ludowego w Nowej Hucie, aby następnie wejść na jakis czas na afisz tego teatru. Jeżeli się nie mylimy, byłby to debiut łódzkiego dramaturga — pomysłowo, rzecz jasna, adaptacja — w telewizji.

DOBRY ZWYCZAJ — NIE POŻYCZAJ

Przy ul. Piotrkowskiej 104 pod auspicjami PTT-K funkcjonuje jedyna w Łodzi otwarta wypożyczalnia sprzętu turystycznego. Otwarta, to znaczy taka, do której każdy człowiek z ulicy może wstąpić i za okazaniem dowodu osobistego tudzież po uiszczeniu odpowiedniej, niewielkiej zresztą, opłaty wypożyczyć to, czego jego turystyczna dusza zapagnie.

Ogółem wypożyczalnia dysponuje 70 kompletami turystyki letniej (namioty, materace dmuchane, kochery, plecaki, torby), które ciągle są w ruchu. Ponieważ to nie za wiele, jak na siedemsettyśięczne miasto, a również dla porządku w gospodarowaniu tym społecznym mieniem obowiązuje zastrzeżenie, że kto nie odda w oznaczonym przez się terminie wypożyczonego sprzętu, ten płaci za każdy następny dzień cenę trzykrotnie wyższą od normalnej stawki dziennej.

Turystyka jak pogoda, nie wszystko można w niej przewidzieć, zdarza się więc, że skuszony urokami przyrody martwej lub żywej turysta pragnie przedłużyć pobyt na jej łonie. Jeżeli jest to turysta praworządny, wysyła z przeproszeniem uprzejmą prośbę o przedłużenie terminu zwrotu sprzętu, a wraz z tym przekazuje odpowiednią sumkę. Niestety, ta elegancka forma ma zastosowanie rzadkie. Nader często łodzie przelaminowują wypożyczenie bez pardonu i wtedy ambaras — trzeba płacić. W uzasadnionych wypadkach (choroba lub inne nieszczeście) kierownictwo wypożyczalni idzie na rękę i nie egzekwuje w sposób drakoński konwencjonalnej kary. Takie wypadki zdarzają się jednak rzadziej niż zwykle i ordynarne lekceważenie zobowiązań.

W roku ubiegłym (co do bieżącego naturalnie nie ma jeszcze danych) zdarzyło się 15 drastycznych przypadków, w których wypożyczający uznali za stosowne w ogóle z wypożyczonymi rzeczami się nie pokazać i na uprzejme monitony nie odpowiadać. A kary nie — a kary rosły.

Pan J. L. np. wypożyczył zwykły skafander na 17 dni, co by go kosztowało 26,15. Ale p. J.L. nie oddawał skafandra długo, długo a potem wcale. Rachunek za przedterminowanie wyniósł w pewnym momencie zł 1.343,25 i sprawa musiała trafić do sądu. Naturalnie p. J. L. sprawę przegrał, w rezultacie wypożyczenie kosztowało go prawie dziesięciokrotnie więcej niż sam skafander. Pan B. B. wypożyczył namiot, tropik, plecak i torbę. Przetrzywał to dni 74 ponad umowną datę, co go w rezultacie sprawy sądowej kosztowało 4.262 zł i 40 gr.

Ogółem w roku 1961 powództwa cywilne przeciw nieskrupulatnym lub wręcz nieuczciwym amatorom turystyki opiewały na łączną sumę 20.551 zł 80 gr. Wszystkie te powództwa sąd na rzecz PTT-K zasądził. Część z nich okazała się nieściągalna i trzeba było sporo sum odpisać na straty. Wnioski z tego; są w naszym mieście współobywatele, których nie stać na własny sprzęt, ale stać na bardzo kosztowne jego „wypożyczenie” i — dla nie umiających dotrzymywać elementarnych zobowiązań — dobry zwyczaj nie pożyczaj.

PS. Pół biedy, kiedy nieskrupulatna okazuje się pojedyncza osoba, wiadomo różni bywają ludzie. Ale cała bieda, kiedy zobowiązania nie dotrzymuje organizacja i to w dodatku wychowawcza. 97 Łódzka Drużyna Harcererek im. J. Kochanowskiego z ul. Jaracza 44 wypożyczyła namiot na okres od 29 czerwca do 5 sierpnia. Do dnia 15 sierpnia harcerki namiotu nie zwróciły, mimo że czeka nań inna drużyna.

ODGŁOSY

tygodnia

KŁOPOTY z WYŻEM

Tym razem z wyżem nie atmosferycznym, lecz demograficznym. Właśnie nadchodzi on na szkoły średnie. W czerwcu opuściło je w Łodzi 1500 maturzystów. I września przystępuje do nauki w klasach 8 szkół ogólnokształcących, wedle limitu Ministerstwa Oświaty dla naszego miasta, 5000 uczniów. Równocześnie przybyszą tylko 3 nowe licea (w tym jedno popołudniowe) na ogółem 1040 miejsc. Deficyt wynosi tedy 2460 miejsc.

Przez całe wakacje Dział Szkolnictwa Ogólnokształcącego Kuratorium głowił się, jak wchłonąć tę wysoką falę. Półśrodkiem jest forma tzw. „klas lotnych”. Dowiec polega na tym, że kiedy jedna grupa uczniów będzie szła do pracowni, druga zajmie w tym czasie izbę lekcyjną. W ten sposób zorganizuje się 15 klas, czyli forma ta obejmie ok. 600 uczniów. Półśrodkiem nazywamy ją dlatego, że ciąży na niej wszelkie wady koczowniczego trybu życia. Środkiem jest zastosowanie drugiej zmiany, czyli tzw. popołudniówek. Popołudniówki uruchomi się w V, IX, XX i XXIX liceach. Złatwi to sprawę dalszych 880 miejsc. Resztę trzeba będzie upchać w izbach lekcyjnych szkół podstawowych.

Kłopoty z wyżem już znajdują wyraz w licznych interwencjach. Rodzice w czerwcu upieczonych licealistów, których skierowano do popołudniówek, indywidualnie i zbiorowo protestują przeciw takiemu skierowaniu. „Odgłosy tygodnia” pragną powiedzieć, że się poniekąd solidaryzują z tymi rodzicami, bo to rzeczywiście nie najlepiej, kiedy młody człowiek rano długo śpi a potem bąki zbija, a do szkoły idzie po południu, mając preteksty, by do domu wrócić, kiedy dorośli usypiają. Ale „Odgłosy tygodnia” bardziej solidaryzują się z Kuratorium, bo innej rady niż wymyślona przez nie — nie ma. Wóz albo przewóz — albo popołudniówki, albo bezczynność dużej liczby absolwentów szkół podstawowych a adeptów średniej. Co lepsze — nikt co do tego chyba nie ma wątpliwości.

Co gorsza, kłopot ten będzie nas trapił przez najbliższych lat 5, czyli tyle, ile będzie trwał wyż. Ze wskaźnik zmianowości się pogorszy w Łodzi? I to lepsze, niż wskaźnik „luzaków”. Jeżeli kogokolwiek to pocieszy, dodamy, że taki Poznań ma 50 proc. liceów popołudniowych. W Łodzi procent ten wyniesie około 15. Tuszymy, iż nasza eksploatacja odwiedzie niejednego rodzica do zbędnej interwencji u wszelkich władz. Jeśli kto ma ochotę się uczyć, to będzie się uczył i przed południem i po południu.

AUTOSTOPOWICZ — ISTOTA PODEJRZANA

Aż przykro patrzeć, jak kierowcy, zwłaszcza prywatnych samochodów, w ogóle nie reagują na czasom rozpaczliwe znaki młodych ludzi, chcących zażywać letnich przygód, podróżując za „jeden uśmiech” i „dziękuję”. Pierwszy okres, w którym autostopowicz był na szlaku żywą duszą, mile widzianą i zabieraną, minął zdaje się bezpowrotnie. Kierowców najwyraźniej przestał bawić Auto-stop, a sporadyczne skądinąd wypadki natręstwa, chamstwa i złodziejstwa wciąż podkopują zdrowy w swym założeniu młodzieżowy ruch.

Środki profilaktyczne, zastosowane przez organizatorów tego ruchu, usiłujących wyrwać go z żywiołowej hipertrofii, wydały w tym roku swoje jady. Jak wiadomo, wiek uprawniający do korzystania z książeczki Auto-stopu podniesiono do 17 lat. Drugim warunkiem jej otrzymania jest okazanie co najmniej 200-złotowego wkładu na książeczkę PKO, wpłaconego co najmniej 5 dni przed zamierzoną „rajzą”. Przedsiębiorczość niedoświadczonych amatorów darmowej jazdy skierowała się więc w stronę omijania tych ograniczeń. Techniki prób oszukiwania (czasami nie tylko prób) personelu wydającego książeczki Auto-stop są, jak dotąd, trzy: 1) Podwyższenie wieku — po uprzednim misternym wyszkoleniu bądź wywabieniu prawdziwej daty urodzenia — w legitymacjach szkolnych. 2) Falszowanie książeczek PKO przez a) własnoręczne podwyższanie wkładu b) antydatowanie wpłaty c) zmianę nazwiska właściciela (w tym ostatnim przypadku chodzi o to, ażeby na jedną autentyczną nawet i z rzeczywistym wkładem książeczkę PKO wykupić kilka książeczek Auto-stop. 3) Zmiana nazwiska na samej książeczce Auto-stop po uprzednim jej wystawieniu na kogo innego.

To ostatnie daje pole do dalszych i grubszych nadużyć. Niedawno z Komendy Powiatowej MO w Świdnicy wpłynęło do władz łódzkich doniesienie, że 4 młodzi ludzie: Zbigniew R., Henryk R., Jerzy N. i Antoni J., zamieszkali tu a tu „w czasie przejazdu samochodem na trasie Wrocław-Świdnica dokonali kradzieży konserw z tego samochodu na szkodę Centrali Rybnej we Wrocławiu”, i że w sprawie tej prowadzi się dochodzenie. Młodych ludzi zidentyfikowano na podstawie książeczek Auto-stop. Po sprawdzeniu okazało się, że odpowiednie numery książeczek były wydane na... całkiem inne nazwiska.

Oczywiście, owo fałszerstwo i złodziejstwo jest znów wypadkiem sporadycznym. Cytujemy go nie dla dalszego obrzydzenia Auto-stopu, lecz dla zasygnalizowania, iż środki mające go uratować i uzdrowić, zawiodły. Niestety, w oczach społeczeństwa, a nawet w oczach jego odłamu przychylnie wobec praw młodości usposobionego, autostopowicz jest istotą podejrzaną. Zakrojony na masowość ruch i w tym roku rodzi uboczne działania antywychowawcze. Nie przesądzając sprawy kto wie, czy podtrzymywanie tego ruchu nie będzie musiało pójść w kierunku większej ekskluzywności. Wiadomo bowiem, że np. studenci jako autostopowicze cieszą się i wzięciem a raczej braniem zaufania. Czego niestety, nie da się powiedzieć o części młodzieży szkolnej i pracującej,

Piękne dziewczęta na łamy „Odgłosów”



Foto: A. Kobylński.

PROCESY — „PODKŁADKI”

Zacząć należy od truizmu, że między państwem i obywatelem stoi prawo. I vice versa. Znaczący to, że kiedy obywatel naruszy przepisy państwowe, osiągnie go prawo i kiedy jakiś organ państwowy naruszy prawa obywatelskie, wtedy również prawo wkracza. Stąd mówi się właśnie o niezawisłości sądownictwa.

Oczywiście, najidealniej byłoby, gdyby tak jedna jak i druga strona nie popadały w kolizję z prawem. Niestety, tak idealnie jeszcze nie jest i jeszcze długo chyba nie będzie. Nastąpić to może bowiem dopiero wówczas, kiedy nasze życie stanie się bezkonfliktowe. Ponieważ w najbliższym czasie na to się nie zanosz, przyjrzyjmy się jak wygląda sytuacja w tej chwili w zakresie stosunków między Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi a obywatelami.

Otóż według stanu z marca br. z powództwa Prezydium prowadzonych było 167 spraw na kwotę 1.357.892 zł. Przeciwno zaś 151 spraw na kwotę 3.907.428 zł. Razem więc 318 procesów na łączną sumę 5.265.320 zł.

A oto rodzaje niektórych będących w toku procesów: 89 procesów ze stosunku pracy; 48 — własnościowe; 14 — wypadkowe, odszkodowawcze; 4 czynszowe i inne 163.

Z powództwa obywateli najwięcej procesów prowadzonych jest przeciwko następującym wydziałom: Rolnictwa — 36; Zdrowia i Opieki Społecznej — 32; Budżetowo-Gospodarcemu — 30; Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej — 21; Kuratorium Okręgu Szkolnego — 18. Z powództwa Prezydium najwięcej roszczeń przeciwko obywatelom prowadziły wydziały: Zdrowia i Opieki Społecznej — 97; Kuratorium Okręgu Szkolnego — 44; i Budżetowo-Gospodarczy — 19.

Jeśli chodzi o roszczenia obywateli to w szeregu przypadkach są one tak słuszne i oczywiste, że z góry wiadomo, iż Prezydium proces przegra. Mimo to do procesu jednak dochodzi. Dlaczego? Bo wyrok sądowy służy urzędnikom niejednokrotnie jako „podkładka”. Pracownicy Prezydium obawiając się podjęcia samodzielnej decyzji wypłaty obywatelowi ze skarbu Państwa należnej mu sumy tytułem odszkodowania itp., decydują się świadomie na proces wiedząc, że oprócz zasądzonej kwoty trzeba będzie pokryć z tegoż skarbu państwa również (zbyteczne w tym wypadku) koszty sądowe, które są często wcale pokaźne.

POSTĘP w TOS

Wiadomość dla aktualnych i potencjalnych posiadaczy czterech kółek. Aktualnie czują na własnej skórze, potencjalni szczęśliwi, nawet nie wyobrażają sobie, ile kłopotów wiąże się z racjonalną eksploatacją i konserwacją pojazdów. Ultrapięknym są np. przegląd gwarancyjne, na które trzeba czekać w kolejce. Waskie gardło w przeciążonych szlaczach TOS powstaje nie tylko z powodu małej ilości stanowisk roboczych, ale i ich zacofania technicznego. Nowoczesna stacja obsługi przy ul. Strykowski jest dopiero w stadium opracowywania dokumentacji. Przyjdzie na nią poczekać parę ładnych lat. A co na razie? Czy przez ten czas czekać się będzie w TOS na Godota?

Otóż dyrekcja łódzkiej TOS widzi szanse powiększenia swojej wydolności produkcyjnej primo: w postępie technicznym, secundo: w pracy na dwie zmiany. Stacje przy ul. Wigury i Al. Kościuszki zaczęły funkcjonować przez 15 godzin dziennie tj. od 6 do 22 już od początku 1963 r., motocyklowe od 1 maja tegoż roku. W tej chwili doinwestowuje się wszystkie stacje pod tym kątem.

Podobnie w przyszłym roku uruchomi się „Pogotowie”. Nie sztuka bowiem poratować auto mobiliste tu na miejscu, sztuka ma ekipami pogotowianymi, które na wiadomości telefoniczne będą mogły pośpieszyć na miejsce awarii. Ponieważ nie każda awaria da się naprawić w warunkach szosowych, myśli się o urządzeniach do przewożenia usterkowanych (np. z powodu wysiadki wału korbowego) samochodów, a więc o różnych wózkach.

Najbliższą perspektywą, która ucieszy zainteresowanych, są punkty diagnostyczne. Takli punkt z urządzeniami do sprawdzania układu hamulcowego, ustawienia świateł, badania kątów nachylenia kół i warunków spalania, czynny będzie w stacji przy Al. Kościuszki już od października br. Wprowadzi się również szereg usprawnień i racjonalizacji, pozwalających posiadaczom samochodów współuczestniczyć w przeglądach i konserwacji. O tym na razie „szas”, z uwagi na tajemnicę domyślowo.

Redaguje Zespół * Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” * Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79 * Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 1.—, kwartalnie zł 3.— * Redakcja nie zamawiających rekwizytów nie zwraca * Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe. Listonosze oraz PUPiK „Ruch” — z zastrzeżeniem na „Odgłosy” * Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17 Zam. 2421. VIII. 62. A-6